№ 4. Warszawa, dnia 11 (23) Stycznia 1875 roku.



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

SŁÓW KILKA W NAJWAŻNIEJSZEJ KWESTYI.

Gazeta Warszawska mówiąc o potrzebie założenia w Warszawie Szkoły rzemieślniczej, do czego głównie Magistrat jako zarządzający miastem winien rękę przyłożyć, podniosła głos niezmiernie wymowny, wystawiając nieobliczone ztąd dla kraju korzyści.

Kapitał wyłożony na cel podobny, powiada Gazeta; a zaprawdę niepotrzeba tu zbyt wielkiej kwoty, wróci się w dość rychłej przyszłości drogą pośrednią tak przez powiększenie bogactwa w ogóle, jak przez stosunkowe zmniejszenie wydatków na cele jałmużnicze i karne. Im więcej wykształcenia, tem praca rozumniejszą, tem zarobek znaczniejszy, tem marnotrawstwo sił i czasu mniejsze, tem próżniactwo rzadsze, tem rządność i oszczędność większe, tem wzrost indywidualnego a z niem i zbiorowego bogactwa wybitniejszy, tem spokojność pewniejsza. Im więcej szkół tem mniej więzieni, im więcej dobrych uczniów w dobrych szkołach, tem mniej żebraków wszelkiego rodzaju obłachmanionych czy schludniej odzianych. Są to pewniki ekonomiczne, których już dziś nikt nie dowodzi ani dowodzić potrzebuje.

Światła więc naukowego jak najwięcej nam trzeba, światła nietyle popieranego w górze, która w każdym razie radzić sobie potrafi i bez ofiar kraju obejdzie się, jak szerzonego w najliczniejszych warstwach społecznych, które bardzo małą cieszy się ogółu opieką. Społeczność nie spełniająca tego najżywotniejszego warunku, podobną jest do budowniczego któryby gmach chciał stawiać od dachu. Narzekając na występki i zbrodnie i karząc je, łając nieumiejętnych, próżniaków, marnotrawców, pijaków, żebraków, niespokojnych, popełnia w znacznej części mimowolną niesprawiedliwość, bo powstaje na czyny zdrożne nie podając środków zapobiegających ich powstawaniu. Wszelkie kodeksa karne choćby najostrzejsze, więzienia, domy poprawy, osady rolne dla małoletnich przestępców, zakłady dobroczynne, łajania, gniewy, i ściganie szalbierzy nic tu nie poradzą, jeżeli jednocześnie przez naukę nie będzie zaszczepione moralne pojęcie godności własnej i jasne zrozumienie co złe co dobre, co robić należy a czego nienależy. To dobrodziejstwo da tylko oświata, wciskająca się wszędzie jak powietrze co wszystko przenika, jak pokarm brany przez wszystkie ręce bez względu czy z lepianki najbiedniejszéj czy z pałacu do niego wyciągnięte. Pewna liczba na setki a choćby tysiące dająca się policzyć, przysparzana krajowi corocznie z pewnem wykształceniem ze szkół wyższych lub uniwersytetów, potrzeby tej gwałtownej oświaty nie zaspokoi: tu trzeba koniecznie działania na krocie i miliony, utworzenia przez naukę stopniowania, któreby niższe warstwy podnosiło ku wyższym, a wyższe coraz wyżej i wyżej. W Cesarstwie ten zabieg staje się coraz widoczniejszym a liczne otwieranie szkół ludowych, składki gminne i domy prywatne, najlepszym tego dowodem. W harmonijnym tak związku rozwijania oświaty, i czynności z niej równie harmonijnie wypływać będą. Światły rolnik znajdzie pracowników pojmujących jego ulepszenia, fabrykant zdolnych robotników, rzemieślnik dobrą czeladź, kupiec pomocników, słowem każdy stan rozwijający pracę podniesioną wyższą nauką, odpowiednich ludzi, którzy wszystkie w niej pomysły nowe i ulepszenia pojmą i wprowadzą w wykonanie. Jest to prawo nieubłagane, któremu podlega cała ludzkość, które spełniając sąsiednie nam kraje tak nas prześcignęły we wszytkiem, i którym nie dorównamy, dopóki prawa tego nie zaczniemy spełniać w całej jego obszerności. Żadne inne usiłowania, żadne wysilenia się kapitałów, żadne sprowadzania choćby najzdolniejszych ludzi w różnych gałęziach przemysłu nie sprowadzą polepszenia bytu ogólnego, bo dobro społeczne aby się stało rzeczywistem bogactwem, musi wyrosnąć z pracy i wiedzy miejscowej, jak ziarno w polu, dąb w lesie, kwiat w otoczeniu siedziby ludzkiej.

Narzekamy np: na brak u nas ogrodów owocowych i dróg wysadzonych drzewami; na szkodników i niszczycieli są prawa i kary: używamy także łajań i groźby, przy każdej sposobności nie szczędzimy objaśnień, i zachęty czyż to wszystko odnosi jaki skutek? Gdybyśmy krocie wyrzucili na podniesienie sadownictwa i wysadzenie dróg drzewami, gdybyśmy najzdolniejszych posprowadzali ogrodników, krzewy i drzewka najpożyteczniejsze, zginą one bez śladu bo nie znajdzie ludzi coby je uszanowali, coby w ogrodach nie otrzęśli owoców nie dojrzałych, a przy drogach nie wyłamali lub nie obdarli z kory drzew je otaczających. W Warszawie Saski ogród musi być zamykany dość wcześnie, a Botaniczny pilnowany jak oko w głowie, bo inaczej nicponiów ręce wyrwą wszystko co da się wyrwać choćby bez żadnego pożytku dla siebie. W otoczeniu wód mineralnych, jak tylko wodotrysk przyozdobiono muszlami, musiano do bazenu wpuścić wodę, aby utrudnić dostanie się do środka, gdyż inaczej muszle zostałyby wydłubane a sam wodotrysk uszkodzony. Słupek przed ratuszem oznaczający południk otoczono nieprzystępną baryerką, bo inaczej zostałby uszkodzony a kto wie czy i nie wydobyty. U schodów do wisły prowadzących, okucia stopni żelaznymi sztabami wszystkie już dawno oderwano, słowem gdzie się obrócić wszędzie szkody i napaść na cudzą lub wspólną własność. Za granicą jest inaczej, tam każdy rozumie ważność własności publicznej i szanuje ją, u nas nie znają jej więc i nie szanują. Tam pojęcie to wyrobiła oświata ogólnie rozszerzona, u nas to samo sprawi gdy do jej krzewiania wszyscy przykładać się zechcą. A nie są to tak trudne rzeczy jak się zdaje z pozoru; umiejący czytać byle dostał dobrą książkę przeczyta ją z pewnością. Myśl poczciwa i rozumna choć jedna przyczepiwszy się jego pamięci, już da materyał do rozwagi, za nią pójdzie druga i trzecia i ni ztąd ni zowąd powstanie człowiek myślący i zastanawiający się i mi-

mowoli działający odpowiednio na swe otoczenie. Już jego słowa i czyny będą inne niż były przedtem, a choćby i sposób pojmowania i odpowiednia działalność w szczupłych bardzo zamykały się granicach, zawsze to będzie już człowiek wydobyty z niemocy umysłowej, początkujący w umysłowem życiu przedtem mu nieznanem.

(d. n).

Puszcza Litewska.

FRAGMENT.

Co za widok wspaniały!... Bór ciemny dokoła,
A drzewa, jak olbrzymów potężne legiony
Stoją, splotłszy konarów tysiączne ramiony,
Aż ku niebu podnosząc swoje dumne czoła.

Cudna z liści korona króle lasów wieńczy,
Na pierś im siwa broda mchów poważnie spływa,
A cień ich pada dumnie na zastęp młodzieńczy,
Co się tak niecierpliwie ku słońcu wyrywa.

U stóp ich, na zielonej a miękkiej pościeli,
Tulą się grzyby-karły; pod świerkowym cieniem
To jagody, to kwiaty płonią się z pąkowi.

Tam z rozpuszczonym włosem stoi w śnieżnej bieli
Brzoza, niby dziewica nad czystym strumieniem...
O naturo! twe wdzięki któż godnie wysłowi...

Marya Szeliga.

STRACONY,

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA).

NOWELLA

Elizy Orzeszkowej.

(Ciąg dalszy).

Myśmy pomagali mu długo proszę pana, ciągnęła z coraz wzrastającem wzburzeniem, mąż mój kilka razy płacił za niego długi. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, ażeby dojść mógł do podobnych ostateczności. Był to proszę pana, dla nas cios straszny. Kaliński w turmie! rzecz niesłychana! Dziwi mię nawet mocno, że ktokolwiek ujmować się za nim może. Wierzę bardzo że gdyby mąż mój sam pojechał do N. i zażądał tego, uwolniliby go natychmiast, ale mąż mój tego nie uczyni.

— Jeźliby nawet chciał to uczynić, przerwałem, wcaleby tem panu Romanowi nie dopomógł. W dzisiejszych czasach więzień jakiegokolwiek byłby pochodzenia, na niczyje proste żądanie uwolnionym być nie może.

Wyraz niedowierzania i lekkiej obrazy osiadł na twarzy pani Elżbiety z Drewiczów Kalińskiej!

— Już to proszę pana, rzekła żywo, jeżeli syn obywatelski a dotego i nie byle z jakiej familii siedzi w turmie, to tylko dlatego że rodzice jego nie sprzeciwiają się temu i za syna go nie uznają. Zresztą, dodała ze wzruszeniem ramion, przypuszczam że w teraźniejszym świecie, żadna już wyższość ani godność szanowaną nie jest, ale pieniądze muszą mieć swoje znaczenie. Gdybyśmy chcieli proszę pana, moglibyśmy jeszcze dzięki Bogu sypnąć pieniędzmi i wykupić z turmy Kalińskiego, ale ani myślimy rujnować się dla jednego z dzieci naszych z krzywdą dla innych i lepszych...

Wyznaję iż pomimo bynajmniej niewesołego w tej chwili nastroju myśli mych i uczuć, z trudnością wstrzymać się mogłem od uśmiechu.

— Gdybyście państwo i mieli nawet ten zamiar, rzekłem, na nicby się on panu Romanowi nie przydał. Ludzi posądzonych o przestępstwa kryminalne wykupić dziś od sądu i kary niepodobna.

Do twarzy kobiety, uderzyły znowu gwałtowne rumieńce.

— A więc proszę pana, zawołała, jeżeli już tak nic wcale nie możemy, jeźli już tak niczem na świecie nie jesteśmy jakże możemy temu nieszczęśliwemu przynieść tę pomoc, o jakiej pan mówiłeś? Czy mamy na intencyę jego odbyć piesz podróż do Ostrej bramy, czy może na miejsce jego, drugiego syna naszego wsadzić do turmy? Czy wleść na wieżę i krzyczeć że on niewinny? Bardzo to pięknie ze strony pana obrońcy, że pan obrońca nie chce gubić człowieka, ale my już zrezygnowali się i prosimy pana obrońcy aby wraz z kolegami swymi, uczynił z nim co zechce.

Po sposobie jakim wymawiała i w mowie swej umieszczała wyrazy: pan obrońca: domyśliłem się, że wcale a wcale nie wie z kim mówi i, że uważa mię przynajmniej za jednego z sędziów, jeżeli jeszcze i nie za urzędnika z prokuratoryi. Nie sądziłem jednak aby tłomaczenie czynności moich i stosunku mego względem więźnia, było wtej chwili potrzebne i właściwe. Rzekłem więc krótko.

— Ja syna państwa sądzić nie będę. Zadaniem mojem jest przeciwnie, bronienie go przed sądem z całej siły i możności. I dla tego to właśnie przyjechałem tutaj, by w imię ludzkości i miłosierdzia, w imię nigdy nie rozrywających się zupełnie węzłów rodzinnych, prosić państwa o udzielenie mu pewnej moralnej czysto pomocy, która na los jego bardzo wielki wpływ wywrzeć może.

Na dźwięk wyrazów, ludzkość, miłosierdzie i związki rodzinne, łzy poczęły napływać do pałających przed chwilą gniewem oczu pani Kalińskiej

— Pomocy! zawołała płaczliwym już głosem, jakiej że to pomocy?

Opowiedziałem w krótkości o roli, jaką w historyi syna tego domu grała Dziedzierska, właścicielka handlu trunkami w poblizkiem miasteczku. Kiedym wspominał o medalijonie, p. Kalińska plasnęła rękami i zwrócona do syna przerwała mi mowę wykrzykiem.

— Julku! Juleczku! wyobraź tylko sobie! ten nieszczęśliwy chłopiec, sprzedał swój medalijon, taki sam medalijon jaki ty nosisz zawsze przy zegarku! Medalijony te panie, dodała, zwracając się ku mnie ,to droga pamiątka dla familii naszej! przywiózł je z Paryża ojciec chrzestny synów moich, p. Szambelan Dębicki. Szanowny obywatel, którego czciliśmy i kochali wszyscy... I ten szalony chłopiec, sprzedał pamiątkę po panu szambelanie.

— Nie pojmuję doprawdy, co w tem Mamę tak bardzo zadziwia, sarknął p. Julijan, szanowny mój braciszek wiele potrzebował pieniędzy. Sprzedałby on nietylko medalijon, ale rodzonego Ojca, Matkę, byleby tylko ze swemi kompanijonami wesołe życie prowadzić.

Wszakże w przed dzień ostatniego już i najpiękniejszego jego postępku, będąc w miasteczku widziałem się z nim... pokazywał mi swój medalijon i mówił że chowa go na jakąś tam podróż. Nazajutrz przecież sprzedał go, a w dodatku zabił kompanijona aby go okraść!

— Julku! Juleczku! płaczliwym głosem upominała syna p. Kalińska, aby miarkował się w zapale.

Co do mnie, jeźlibym doświadczał jeszcze choć cienia wątpliwości o prawdzie opowiadań i uznań Romana, zostałby on usunięty słowami jego brata.— Pan Roman, rzekłem z mocą, nie okradł człowieka którego miał nieszczęście życia pozbawić, pieniądze u niego znalezione pochodziły właśnie ze sprzedaży tego medalijonu o którym państwo mówicie. Gdyby Ojciec lub Matka Romana Kalińskiego zechcieli namową, prośbą lub jakimkolwiek sposobem wpłynąć na ową kobietę...

— Jakto! z żywem poruszeniem zawołała p. Kalińska czyliż możesz pan dobrodziej przypuszczać naprawdę, że ja... ja... wdam się w jakikolwiek stosunek z taką... taką kobietą...

— W istocie, rzekłem, sądziłem na prawdę, że pani uczynić to zechcesz jeźli już nie przez litość nad synem to przez miłość dla prawdy która inaczej ukrytą zostanie na zawsze przed oczami ludzi najbardziej nawet pragnącemi ujrzeć i wymierzyć sprawiedliwość. Jeźli jednak, dodałem, mniemanie moje było błędnem, zdaje mi się że ojciec Romana Kalińskiego jako mężczyzna doświadczać nie będzie podobnych drażliwości i zechce sprobować przynajmniej w pływu jaki mieć może...

— O co tego to z pewnością papa nie uczyni! ozwał się z boku głos ostry i rozjątrzony. Pan Julijan który wraz po wyjściu Matki usunął się nieco na stronę i słuchał toczącej się rozmowy w milczeniu głośno tylko i niecierpilwie dzwoniąc brelokami od zegarka wstał z krzesła z bladą twarzą rozpłomienioną ciemnym rumieńcem i iskrzącemi się oczami.

— Co tego, powtórzył, to papa nie uczyni z pewnością! a gdyby nawet chciał uczynić ja mu na to nigdy niepozwolę.

— Dla czego? zapytałem krótko.

— Dla tego, zawołał, że kompromitowałoby to nas wszystkich i mnie mogło los zepsuć! Musisz pan wiedzieć, bo wątpię bardzo aby w N. nie wiedziano nic o tem, że parę tygodni temu oświadczyłem się pannie Wincencie Różańskiej i zostałem przyjęty. Żenię się więc z panną dobrze wychowaną, posażną i z pięknej familii i nikt z pewnością zaprzeczyć nie może że robię bardzo świetną partyę. Nie potrzebuję wcale aby teraz właśnie sprawa Romana przypominała się i rozmazywała w świecie przez wtrącanie się w nią mego ojca. Dosyć i tak proszę pana nałykałem się już wstydu przez tego mego braciszka. Coby to powiedziała familija Różańskich, gdyby teraz ojciec mój w jakikolwiek sposób wdał się w jego interes? Mógłbym dostać rekuzę i stracić tak świetną sposobność dobrego ożenienia się! Nie potrzebuję wcale cierpieć za to że komuś tam podobało się przez całe życie być łotrem, i nie na to prowadziłem się zawsze porządnie aby mi czyjeś grzechy karyerę psuły.

Dziwię się doprawdy jak pan mogłeś przyjeżdżać z podobnemi projektami.

— Juleczku! ozwała się gospodyni domu, nie unoś się tak moje dziecko! Pamiętaj o tem że pan obrońca jest naszym gościem...

— Ależ proszę mamy, odfuknął syn, ja też panu obrońcy bynajmniej ubliżać nie chcę, ale nie mogę też zgodzić się na to, aby papa krzywdził jednego syna dla drugiego. Zdaje mi się że ja rodzicom nie przyczyniłem nigdy zmartwienia ani wstydu, a jeżeli majątkowe interesy nasze są złe nie moja w tem wina. Teraz ja właśnie chcę poprawić je przez ożenienie. Panna Różańska ma 200000, złotych posagu gotówką i jeżeli ja się z nią nie ożenię ciekawy bardzo jestem jak rodzice wybrną z długów. Szanowny mój braciszek, jeżeli go uwolnią pewno nie pomoże papie do zapłacenia na S-ty Jan Szlomie i Jędrzyckiemu,

a mama wie sama dobrze że Jędrzycki kilka już pozwów przesłał i że po Ś-tym Janie Kalinów sprzedawać mają...

Mówił tak głośno i z takiem uniesieniem, że ternew zbudził się na kanapie, podniósł ogromny łeb i warczeć zaczął, młode zaś gończaki opuściły dywan który dotąd szarpały zębami i z przeraźliwym piskiem poczęły skakać do kolan młodego pana. Pani Kalińska mięła niemiłosiernie w rękach serwetę, czmychała, wzdychała, wzruszała ramionami, pogładziła potem warczącego ternewa po czarnej sierści, zawołała na gończaków aby uspokoiły się o czem one naturalnie ani słuchać nie chciały i zwróciła się do mnie.

— Wszystko, rzekła, co Julek powiedział jest prawdą.

Prowadził się on zawsze jak najlepiej, nie uczynił nam nigdy żadnego zmartwienia, a odkąd dorosł przynosi nam w towarzystwach największy honor. Interesa nasze są w istocie nieszczególne nie dla tego wcale abyśmy broń Boże tracili majątek: owszem żyjemy oszczędnie i wielu rzeczy odmawiamy sobie, ale pan obrońca wie jakie to teraz dla obywatelstwa ciężkie są czasy. W podobnych okolicznościach ożenienie się Julka z panną Różańską jest prawdziwym dla niego szczęściem i nie możemy uczynić nic coby je na zerwanie narazić mogło.

— Nie widzę, rzekłem, dla czegoby kilka słów wyrzeczonych przez ojca występnego zapewne ale więcej jeszcze nieszczęśliwego syna do osoby tak nieznanej i nisko stojącej, miały zerwać to co związała zapewne wzajemna miłość dwojga młodych ludzi.

— Ot proszę pana, zawołała wstrząsając głową pani Kalińska, miłość... zapewne... wszystko to są piękne słowa ale trzeba też i na inne względy uważać. Różańscy byli bardzo zdziwieni i oburzeni tem co się stało z Romanem i jeżeli po tem co zaszło zgodzili się wydać córkę za Julka, to jak mi się zdaje dla tego tylko, że wiedzieli dobrze iż tamtego nie uważamy już za naszego syna i że nigdy żadnych stosunków z nim mieć nie będziemy...

— A gdyby teraz kochany braciszek uwolnionym został i wrócił, zawołał p. Julijan, dostałbym z pewnością rekuzę. Jak Boga mego kocham, dodał uderzając się w piersi dostałbym rekuzę!

— A więc, rzekłem poważnie patrząc mu w oczy, lękasz się pan i nie życzysz sobie uwolnienia i powrotu twego brata...

Młody człowiek zmięszał się nieco i spuścił oczy. Po chwili jednak odzyskując kontenas odrzekł z butą.

— On nie jest proszę pana moim bratem. Ja nie mam wcale brata tak jak rodzice moi nie mają innego syna prócz mnie.

Zwróciłem się do matki Romana.

— Łaskawa pani! rzekłem, nie przemawiam tu w interesie własnym ale klijenta mego względem którego mam obowiązki i mimo wszystko żywe współczucie, dla tego pozwalam sobie być tak śmiałym i nalegającym.

Czy serce państwa, serce rodzicielskie cierpieć nie będzie nad tem, że w czasie gdy jeden z ich synów wolny, kochany, szanowany i szczęśliwy, osiągnie wszystko co tylko człowiekowi w wieku jego i położeniu świat i życie dać mogą, drugi okryty hańbą i pełen zgryzoty, samotny i opuszczony jak sierota wskazany będzie na długie męczarnie i na wieki już oderwany od was, od rodzinnego miejsca swego, od wszystkiego co na ziemi szczęściem jest spokojem czcią i uczciwością?

— Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi! mruknął p. Julijan dzwoniąc gwałtownie brelokami. Ale do oczu pani Kalińskiej łzy napłynęły znowu. Czy w piersi jej drgnęła struna macierzyńskiej miłości, czy też może pewne wyrazy miały własność drażnienia w szczególny sposób wzrokowych jej nerwów, dość, że gdy wymawiałem słowa: rodzicielskie serce, świat, życie, sierota, męczarnie i t. d. źrenice jej wilgotniały i usta krzywiły się do płaczu.

— Julku! rzekła podnosząc na syna nieśmiałe oczy, trzebaby się poradzić... może Papa coś zrobi dla Romana...

— Po co tam radzić się! ofuknął syn, Papa nic nie zrobi bo żeby i chciał ja mu nie pozwolę. Nie rozumiem wcale dla czego ktoś obcy miałby mięszać się do naszych spraw familijnych.

— No, no Juleczku! powstając z kanapy żałosnym głosem zawołała gospodyni domu, chodź, chodź! moje dziecko! jak zechcesz tak zrobimy ale trzeba przecież poradzić się jaką ostatecznie odpowiedź dać mamy panu obrońcy... Mówiąc to wzięła go za rękę i widocznie niezadowolnionego ale przez wzgląd zapewne na przyzwoitość nieopierającego się jej syna, pociągnęła do znajdującego się obok buduaru.

Nie słyszałem wcale co mówili pomiędzy sobą, a nawet nie wiele mię to interesowało, gdyż z góry przewidzieć mogłem rezultat konferencyi. Uwaga moja odwróconą została w inną stronę. Za zamkniętemi drzwiami znajdującemi się w bliskości fotelu na jakim siedziałem, usłyszałem stłumione jakieś szepty i szelesty. Mimo woli spojrzałem na drzwi i ujrzałem rzecz najmniej spodziewaną, bo przeglądające przez dziurkę od klucza bardzo błękitne źrenice i kilka włosów jasnej rzęsy,

— A co? rozległ się za drzwiami szept cichutki który ja jednak dosłyszałem, bo mam słuch dobry i w salonie panowała cisza.

— Nic, siedzi, odparł szepcik wychodzący widocznie z ust właścicielki oczka utkwionego w dziurce od klucza.

— Czy młody?

— Młody, młody!

— A przystojny?

— Nie widzę dobrze.

-- Pozwól! niech ja zobaczę!

— Cicho! cicho! odwrócił się i spojrzał na drzwi.

Wraz ze słowami temi błękitna źrenica zniknęła z dziurki i kilka sekund cicho było za drzwiami.

— Ktoby to mógł być? szepnął po chwili głos pierwszy.

— Nie wiem, odszepnął głos drugi, może nowy jakiś sąsiad.

— Nie; pocztylijon mówił Marysi że ten pan z miasta.

Wielka rzecz że z miasta! może być dla tego obywatelem.

— Wejdź Jadwisiu...

— Nie chcę... wstydzę się... wejdź ty pierwsza...

— Zapewne! tak będzie jak ty chcesz! no wchodźże...

— Doprawdy nie mogę... Marysia tak źle mię dziś uczesała...

— Będzie on tam patrzał na twoje uczesanie!

— A cóż? może na twoją turniurę, zaraz spójrzy...

— Cicho bądź i wchodź mi zaraz pierwsza, a ja za tobą!

— Otóż ani myślę! jesteś dziesięć lat starsza ode mnie, powinnaś zawsze pierwsza wchodzić...

— Głupia jesteś!

Z ostatnim tym nieparlamentarnym wcale wykrzyknikiem, wymówionym w wielkim znać rozdrażnieniu, na w pół głośno drzwi otworzyły się i do salonu weszły dwie panny. Jedna była bardzo wysoka i w powłóczystej sukni, druga znacznie niższa i w sukience nie zupełnie jeszcze dotykającej ziemi. Obie niosły na głowach swych zadziwiające koafiury, wysokie w górze, szerokie po bokach, wydęte z tyłu, najeżone i postrzępiane dokoła. Weszły jedna za drugą i dygnęły, starsza z lekka i od niechcenia, młodsza niziutko i ze spuszczoną głową. Wstałem i ukłoniłem się. W tejże samej chwili wyszła z buduaru pani domu a za nią z rozpłomienioną twarzą i krokiem niechętnym postępował pan Julijan. Panny usiadły.

Starsza tuż przy kanapie na honorowym fotelu, młodsza u okna w cieniu brudnej gipiurowej firanki.

Przejście jednak przez całą długość salonu było rzeczą również niełatwą, jak przebycie dziedzińca.

Młode gończaki skomląc i podskakując, rzuciły się na spotkanie wchodzących do pokoju swych państwa, wielkie wyżlisko zeskoczyło z fotelu i obłoconemi łapami oparło się o elegancki tużurek pana Julijana, inny pies niewiadomego mi gatunku, szarpał za suknię panią domu i wsuwał pysk pomiędzy jej nogi, ternew zaś w całej wielkości swej, stanął na kanapie, i ogromnym łbem swym dotykając głowy starszej panny, groził koafiurze jej wielkiem poszkodowaniem. Gospodyni domu uspakajała psy głosem i dłonią, pan Julijan niecierpliwił się i odrzucił nogą gończaków aż pod samą ścianę, panna Eufemija zarumieniła się jak piwonija i z całej siły odpierając napastującego ternewa rzekła do mnie.

— Papa tak lubi psy że mamy ich pełen dom. Ja także je lubię choć bywają czasem dokuczliwe. A pan czy jest amatorem psów?

Nie miałem czasu na odpowiedź, bo w tejże chwili właśnie gospodyni domu dotarłszy do kanapy na której usiadła, zaczęła przemawiać do mnie.

— Julek znajduje rzekła, że nie możemy i nie powinniśmy mięszać się w sprawy Romana i ja podzielam jego zdanie. Ciężko to bardzo rodzicom przenieść cios taki, ale zgodziliśmy się z wolą Pana Boga a może to i lepiej że zbłąkane dziecko nasze ukarane zostanie. W nieszczęściu upamięta się może i poprawi...

— Pani! rzekłem dotknięty do żywego, nie posiadamy jeszcze niestety, urządzeń karnych takich, któreby były zarazem urządzeniami poprawczemi. Nim państwo stanowczo już zdecydujecie się nie udzielić synowi waszemu tej małej pomocy, o którą proszę was w jego imieniu, czuję się w obowiązku powiedzieć jasno i otwarcie: pan Roman skazanym zostanie prawdopodobnie na ciężkie prace, z pozbawieniem praw i przywilejów obywatelskich.

Na te słowa p. Julijan z żymnął się i spuścił oczy, pani Kalińska podniosła chustkę do twarzy, panna siedząca na fotelu, z głębokiem zdumieniem spojrzała na mnie, ale od okna z za gipiurowej brudnej firanki rozległ się szybko stłumiony wykrzyk.

— O ja nieszczęśliwa! wołała pani Kalińska zraszając chustkę łzami, pocom ja tego doczekała! ja umrę ze wstydu i zgryzoty! Juleczku! dodała śród łkań, możeby posłać po Papę?

— Papa nie przyjedzie, odparł wzruszając ramionami p. Julijan, całe towarzystwo miało dziś jechać do Łosowa, a z tamtąd do Winiewicz...

— Wcale nie! zawołała panna Eufemija, nocować dziś będą w Winiewiczach, a jutro pojadą do Łozowa...

— Ależ moja Femciu... zaczął brat.

— Ależ mój Julku, przerwała siostra, wiem doskonale że pojadą dziś do Winiewicz, bo tam pokazały się dziki...

— Sama nie wiesz co mówisz! w Łozownie będzie jutro obława na wilki...

— Na wilki! na wilki! zawołała panna z żywym rumieńcem na zwiędłej twarzy, otóż ja ci mówię że nie jutro będzie obława, ale za tydzień bo jesteśmi nawet proszone z Mamą...

— Na obławę? ironicznie zapytał brat.

— Juleczku! śród łez i łkania wymówiła pani Kalińska daj pokój Femci!

— Ależ moja mamo, kiedy ona sprzecza się zawsze...

— Bo ja wiem co mówię... zaprotestowała panna.

— Femciu! nie sprzeczaj się z Julkiem...

— A więc, przerwałem tę miłę rodzinną rozmowę, p. Kaliński nie wróci dziś do domu, i nie będę mógł widzieć się z nim przed odjazdem.

— O! papa wróci chyba za tydzień, bo teraz pora dla myśliwych najlepsza i w sąsiedztwie polują...

— Papa mówił, że wróci za trzy dni, zarzuciła p. Eufemija.

— Za tydzień z pewnością, bo kazał nawet w sobotę psy prowadzić do Jglina, trzy sfory gończych...

— Dwie nie trzy zaprotestował duch opozycyi w rodzinie. Powstałem z miejsca, w celu pożegnania całego towarzystwa. Los Romana roztrzygnąć się miał za dni parę, a Ojciec jego za tydzień dopiero spodziewany był z powrotem w domu. Nie mogłem przecież gonić go po świecie. Czegoż zresztą spodziewać się było można po głowie rodziny, której członków tak dobrze przez ubiegłą godzinę poznałem.

— Pani, rzekłem zwracając się do gospodyni domu, na jedną już tylko okoliczność zwrócę uwagę rodziny Romana Kalińskiego. Czuje on mocno nad tem, że nikt z krewnych nie odwiedził go w smutnem miejscu w jakiem się znajduje, oprócz tego będzie miał podobno do odbycia ciężką i daleką podróż. Czy pozwolicie państwo oddalić się na zawsze, jednemu z członków rodziny waszej, bez ostatniego słowa pociechy i pożegnania, bez skromnego choćby zasiłku, któryby mu umniejszył fizyczne przynajmniej cierpienia?

— Ja tam już pewno do niego nie pojadę! mruknął p. Juijan.

— Nic byś złego nie uczynił gdybyś pojechał, sprzeciwiła się panna Eufemija.

— Jedź sama... sarknął brat.

— Gdybym była mężczyzną zawołała panna.

Pani Kalińska płakała wciąż i zawodziła głośne żale. Oprócz łez jednak i narzekań, nic otrzymać od niej nie mogłem.

— Jechać do niego nie możemy, zawołała nakoniec, bo narazilibyśmy się na większy jeszcze wstyd i małżeństwo Julka zerwane byłoby z pewnością. Femcia napisze może do niego, a mąż mój i ja poślemy mu cokolwiek na drogę. Zrobimy co możemy... ale jesteśmy w złych interesach; i nie powinniśmy krzywdzić innych naszych dzieci... Julkowi trzeba ekwipować się i dom na przyjęcie gości urządzić, powóz z Warszawy i meble sprowadzić, to nie żart, także młodszą córkę moją, tej zimy w świat wprowadzić muszę i toaletę jej sprawiać... a pan wiesz przecie, jakie to teraz dla obywatelstwa ciężkie czasy... Roman był zawsze złem dzieckiem i same zgryzoty nam sprawiał, ale zrobimy dla niego co będziemy mogli! o ja nieszczęśliwa matka! pocóżem tego doczekała! ja tego nie przeżyję i t. d. i t. d.

Płakała i zawodziła swe żale, Femcia półgłosem sprzeczała się z bratem, dowodząc że państwo Różańscy będą we czwartek w Łozinie wtedy kiedy on powiadał że będą tam oni w sobotę, gończaki dobijały się do drzwi, ternew uderzał w stół kosmatym ogonem, dwa wyżły głośnemu płaczowi swej pani zawtórowały przeciągłem wyciem. U okna, za gipiurową brudną firanką nie było nikogo, panna Jadwiga niepostrzeżenie i cichutko wysunęła się z salonu. Ukłoniłem się w milczeniu wszystkim dokoła, i zmierzyłem ku drzwiom.

— Może pan obrońca zostanie u nas na obiedzie, ocierając łzy jęknęła p. Kalińska.

Podziękowałem i odmówiłem. Pilno mi było wydostać się z tego domu.

Pan Julijan szedł ze mną aż do sieni, zabawiając mię rozmową o drodze i pogodzie. Nakładając podróżny płaszcz, nie mogłem wstrzymać się od surowego spojrzenia w oczy, temu wykwintnemu młodzianowi, który tak nielitościwy dla występnego swego brata nie czuł, nie wiedział, że perfumy jego, pukle i matrymonialne zamiary, że wszystkie dni jego próżniacze, samolubne uczucia, nędznę rachuby i senne myśli, były jednym wielkim i brzydkim a tylko żadnym kodeksem karnym nie objętym grzechem.

Znałem już teraz obu synów domu tego, pozbawionego całkowicie zmysłu wysokiej moralności, prawdziwej oświaty, pracy i porządku. Jeden z nich był duchem zbuntowanym na rozdrożu występku, drugi dzięki korniejszej i ospalszej naturze swej, pasożytem tylko, karłem moralnym, grzesznikiem żyjącym w zgodzie, z prawem karnem i salonową opiniją. Były to dwie jednostajnie smutne odmiany kalekich i szkodliwych roślin, z gruntu niezdrowego wyrosłych. Pożegnany przez młodego syna domu ceremonialnym ukłonem i lekkiem uściśnieniem ręki, wyszedłem na ganek, przed którym czekały na mnie konie pocztowe. Na widok mój, pocztylijon ruszył z miejsca, nie stanął jednak jeszcze u stopni ganku gdy usłyszałem za sobą stuknięcie drzwiami i obejrzawszy się, zobaczyłem stojącą przy mnie pannę Jadwigę.

Na krótką sukienkę swą, narzuciła wielką ciepłą chustkę i otulała się nią od chłodu. Drobną i białą twarz jej okrywał rumieniec zmieszania, a wiatr silnie dmący na dworze, dziwne wyrabiał rzeczy z zadziwiającą jej koafiurą wstrząsając ją, strzępiąc i rozrucając na wsze strony niby krętę źdźbła źle związanej więzi siana. Stała przede mną chwilę milcząca strwożona i ze spuszczonemi oczami.

— Proszę pana, zaczęła na koniec słabym i lękliwym głosikiem, czy pan prędko zobaczy Romusia?

— Zobaczę go zaraz po powrocie, do miasta, odparłem zdziwiony nieco.

— Mam do pana prośbę, rzekła panienka.

— Słucham panią, rzekłem z ukłonem.

Wysunęła z za chustki rękę w której ujrzałem coś owiniętego w papierek.— Niech pan to ode mnie odda Romusiowi, rzekła, i niech pan jemu powie.... niech pan jemu powie, że choć Mama i Papa gniewają się na niego, choć ja sama wiem, że on źle, bardzo źle zrobił, ale mnie go żal i bardzo smutno, że go już nigdy nie zobaczę... niech pan mu powie...

Tu podniosła oczy i pierwszy raz spojrzała na mnie.

Były to oczy w pół dziecinne i bardzo błękitne. Na jasnej rzęsie, której kilka włosków widziałem przed pół godziną przez dziurkę od klucza, wisiały teraz i drżały dwie łzy.

— Niech mu pan powie, szepnęła jeszcze, żeby do mnie napisał kiedy i że jak ja... jak ja...

Sądziłem że nie zdoła wymówić następujących wyrazów, tak trudnemi jej one były do wymówienia.

Wymówiła je przecież,— Jak ja za mąż pójdę i będę miała własne pieniądze, własne konie i powóz, przyjadę do niego choćby był najdalej.

Silnie ścisnąłem w dłoniach moich drobną rączkę, która oddawała mi mały rulonik, i wskoczyłem na bryczkę. W bramie rozwinąłem papier i zobaczyłem w nim kilka sztuk złotej i srebrnej monety.

Był tam dukat, parę półimperyałów, jeden luidor, parę numizmatów i jeden stary jakiś medal pamiątkowy. Wiedziałem że w niektórych zamożnych domach istnieje zwyczaj obdarowywania dzieci w dzień ich imienin lub urodzin, błyszczącemi pieniążkami, domyśliłem się więc pochodzenia tych które trzymałem w ręku. Panna Jadwiga oddawała nieszczęśliwemu bratu wszystko co posiadała mały skarbek w radości serca zapewne uzbierany od kolebki. Minąwszy bramę obejrzałem się jeszcze na dom pozostający za mną. Jasna suknia młodej panienki świeciła tam jeszcze pomiędzy upadającemi w gruzy szaremi słupami ganku. Zdawało mi się, że wśród zapadającego mroku, spostrzegam w oddali błękitne jej źrenice z dwoma łzami na rzęsie i różowe usta szepczące lękliwie. „choć ja sama wiem że on źle zrobił ale mi go bardzo żal!“ Dobre, młode dziewczę, pomyślałem, serce twoje zasługuje na to aby głowa twoja nie nosiła na sobie, fury siana zlepionego pomadą, aby stopy twoje nie grzęzły w gruzach rodzicielskiego domu — a oczy nie zaglądały przez dziurki od kluczów. Serce twoje zasługuje na to abyś z dwoma warkoczami owiniętemi nad dziewiczem czołem, z myślą zawieszoną wysoko i okiem nie przysłonionem niczem, szukało dla siebie po świecie trudnych dróg obowiązków, i wzniosłych szczytów szlachetnego szczęścia. Niestety! zadziwiająca koafiura przytłoczy w głowie twojej wszelką myśl któraby powstać w niej chciała, mama twoja wyswata ci bogatego kawalera którego papa upoluje w czasie jednej ze swych myśliwskich wypraw: brat Julek ożeniony z posażną panną sporządzi ci piękną wyprawę a ty sama zmęczona upatrywaniem przez okno nie nadjeżdżających konkurentów, uciekając przed gruzami rozwalających się ścian rodzicielskiego domu sprzedasz ciało i duszę, zgasisz piękny ogień który dzisiaj z piersi do oka rzucił ci łzę litości nad występnym bratem i będziesz gżesznicą żyjącą w zgodzie z prawem karnem i salonową opiniją! W takich i wielu innych myślach zatopiony ujechałem z półtory mili, gdy o uszy moje obijały się w oddali dochodzące odgłosy trąb myśliwskich. Wychodziły one kędyś z pod lasu i przeciągłem echem biegły po równych, szerokich, pierwszym śniegiem zimowym zasłanych polach.

Niebawem z dźwiękami trąb połączyło się też skomlenie i naszczekiwanie psów, tentent koni, wołania łowców i dojeżdżaczy. Wszystko to trwało kilka minut poczem przycichać poczęło stopniowo i umilkło całkiem w oddaleniu. Poczet myśliwski który ukazał się na chwilę u skraju lasu, popędził drogą biegnącą na prawo i zniknął w jej zakręcie. Pocztylijon wskazał ręką w stronę w którą oddalała się wrzawa.

— A to pan Kaliński, rzekł, jedzie do Łozina *z polowaniem*. W kwandrans potem wysiadłem na stacyi pocztowej i poprosiłem gospodarującej tam kobiety aby urządziła mi herbatę i przekąskę. Zanim to czego zażądałem było gotowem i zanim do bryczki założono świeże konie upłynęła godzina. Stałem w oknie izby gościnnej i paląc cygaro rozmawiałem z dozorcą stacyi, gdy tuż przed domem przeciągnął powóz obładowany tłomokami i ciągnięty czterema rosłemi i rasowemi ale chudemi końmi. Skręcił na drogę wiodącą w lewo.

— Nie poznajesz pan tych pań które jadą w tym powozie? zapytałem dozorcę.

Spojrzał w okno i odpowiedział.—A to pani Kalińska z córką...

Wróciłem do miasta nad rankiem a po kilku godzinach snu i po załatwieniu najpilniejszych interesów, udałem się w odwiedziny do młodego mego klijenta. Chciałem wręczyć mu podarek siostry, i pomówić z nim jeszcze o pewnych punktach sprawy. O bytności mej w Kalinowie postanowiłem zachować przed nim zupełne milczenie. Pocóż go bowiem bardziej jeszcze jątrzyć i rozżalać miałem.

Dozorca więzienia spotkał mię ze słowami.—Przychodzisz pan pewno do Kalińskiego? dziwny to chłopiec doprawdy.

Czy pan wiesz o tem że przyznał się do wszystkiego.

— Jakto przyznał się? zawołałem.

— Tak objawił on dwa dni temu żądanie widzenia się z prokuratorem, o którem ja powinienem był zawiadomić i zawiadomiłem stosowne władze. Prokurator nie przyszedł sam ale przysłał podprokura-

tora, a Kaliński przyznał się przed nim że popełnił to o co go obwiniają. Nie chciał nawet czynić tego w sekrecie ale tak głośno rozmawiał z podprokuratorem w parlatoryum że ja i straż wszystko mogliśmy słyszeć.

Poprośże go pan do mnie, rzekłem.

Dozorca postąpił ku dziedzińcowi ale w połowie bramy zatrzymał się i dał mi znak głową abym się zbliżył.

— Zobacz pan co on wyrabia, rzekł wskazując mi palcem głąb dziedzińca.

Zobaczyłem młodego więźnia krzątającego się żywo po dziedzińcu. Zrazu nie mogłem dobrze zrozumieć co znaczyła czynność której oddawał się z gorączkową prawie zapamiętałością. Pod jedną ze ścian więzienia złożoną była do naprawiania bruku przeznaczona znaczna ilość kamieni. Kaliński podejmował najcięższe z nich i roznosił w różne strony dziedzińca, poczem brał je znowu i umieszczał na dawnem miejscu. Kształtne ale silne i muszkularne ramiona jego, podnosiły ciężary z pozorną przynajmniej łatwością i nad podziw zręcznie, obarczony niemi nie szedł ale biegł, i wracał po nowe prędszym jeszcze krokiem. Siermięga którą dla ochronienia go od chłodu przyodziały go władze więzienne, leżała rzucona w kącie podwórza, było mu snać i bez niej gorąco bo policzki miał pałające a po bladem czole spływał mu pot obfity, którego krople ocierał od czasu do czasu rękawem podartej surduciny.

Więźniowie siedzący pod ścianami na ławach i straż stojąca w bramie, śmieli się z niego i zadawali mu pytania na które nie odpowiadał. Zdawał się nic nie widzieć i nic nie słyszeć; usta miał zaciśnięte a oczy błyszczące dziwnem fizycznem jakby zadowoleniem.

— Panie Kaliński! zawołał głośno dozorca.

Stanął, położył na ziemię kamień który niósł i spojrzał dokoła jakby ze snu zbudzony

— Kto mię woła? zapytał.

— Pan obrońca przyszedł do pana.

Poskoczył i w mgnieniu oka stanął przede mną.

— Ach to pan! zawołał z uśmiechem który rzucił mu na twarz całą wyraz nieledwie dziecięcej radości. Jaki pan dobry jesteś że przyszedłeś. . Zmówiłem dziś rano pięć pacierzy na intencyę abyś pan do mnie przyszedł.

(d. n.)

W CHATCE RYBAKA.

Szkice z życia ludu Włoskiego

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Ciąg dalszy).

Omdlałego, kilkakrotnie rannego Lorenza odniesiono do szpitala. Po wyzdrowieniu, odesłanym został do domu kary w Neapolu.

Siedem lat przebył w zupełnem odosobnieniu, nie widząc ani świata ani ludzi — jeden tylko poczciwy zakonnik ze zgromadzenia OO. Franciszkanów przychodził codziennie obznajmiać go z tajemnicami wiary naszej.

— Od tej chwili poczułem się innym zupełnie człowiekiem, mówił nam stary rybak ocierając spracowaną dłonią łzę cisnącą się do jego powiek, od tej chwili poznałem iż to co wydawało mi się z początku szlachetną zemstą, było niegodnym czynem sprzeciwiającym się miłości jaką tchnie św. nauka Chrystusa. I paliła mnie ręka na której wśród gorączkowych marzeń samotności widziałem ślady krwi rozlanej przezemnie, iserce ścisnęło się żalem, skruchą, pokutą, a z wyradzającej się duszy wybiegł po raz pierwszy najczystszy objaw uszlachetnionej myśli — modlitwa.

Po siedmiu latach przez wzgląd na wiek młody obdarzony został wolnością, i zaraz zaciągnął się jako majtek do flotylli neapolitańskiej. Nader zajmujące były dla nas słuchających, wypadki życia rybaka. Lorenzo opowiadał trudny i niebezpieczny zawód marynarza, wtajemniczył nas w wewnętrzne życie osady wojennego statku, opisywał burze morskie i potyczki z greckiemi korsarzami a w wyrazach jego było to życie, ten zapał, jakiemi przepełnia się zwykle myśl starca, kiedy zasięgnie wspomnieniem w ubiegłe chwile młodości.

Najlepiej jednak lubił mówić o wypadku który stanowczo na jego los wpłynął, o chwili w której po raz pierwszy ujrzał w Teracina tę z którą później dozgonnym połączył się węzłem. Giulia była cudem piękności „la perla di mare“ jak ją nazywali okoliczni mieszkańcy, a potęga jej wdzięków tak głęboko utkwiła w wyobraźni rybaka, iż od jej imienia osada którą dotąd zwano „seuza nome“ dzisiejsze wzięła nazwisko. Ale ojciec Giulji, rybak jak inni, kochał swą jedynaczkę z pewnym rodzajem próżności, i staranniejsze dał jej wychowanie, jakie zazwyczaj dają swem dzieciom jego współtowarzysze.

— Giulija kochała mnie szczerze, mówił Lorenzo; nie okazywała mi nigdy zostawszy mą żoną swojej wyższości, a przecież wstyd że nie umiałem tego co ona zatruwał mi moje szczęście. Zawsze czułem się upokorzonym widząc jak ona czyta na książce, kiedy ja ani jednej litery nie znałem. Trzydzieści lat przebyliśmy z sobą w zgodzie, aż do chwili w której Bóg powołał ją do siebie, a przecież zdaje mi się iż byłbym nierównie szczęśliwym gdyby Giulija jak nasze siostry i córki prostą była tylko dziewczyną. Córka rybaka kończył obracając się do dziewcząt, powinna umieć sieci sporządzać, żagle zeszywać—powinna mieć przytomność umysłu i odwagę, wytrwałość na biedę kiedy połowy nieszczęśliwe, ale na co jej się uczyć czytać, pisać i innych mądrych rzeczy? Książką nie załata dziury w matni, piórem żagla nikt nie zeszyje, a żaden uczony mądrością swoją nie złapał ani polipa?— e vero?

— „E vero“ odpowiadały dziewczęta.

Nie myślcie jednak, aby to były nieokrzesane istoty w których wesołość traci rubasznością, a żywość gburowactwem. Owszem, posiadały one ów wdzięk nieporównany, który daje życie w pośrodku skarbów przyrody, nie zmateryalizowane ciągłą mechaniczną pracą, nie zziębione zupełnym brakiem myśli i wrażeń. Bez form towarzyskich, bez pojęcia różnych wymagań świata, odznaczały się tą prostotą, tą naturalnością, które rażąc mających świeżo w pamięci etykietalne salony Rzymu, wydała się nam zamiłowanym w prostocie obyczajów jakoby ożywcze tchnienie naszych pól i łąk. I postacie ich wdzięczne były jak postacie polnych kwiatków, niewypielęgnowanych umiejętną ręką ogrodnika: wszystkie trzy brunetki, wszystkie trzy ubrane zawsze jednakowo, w czerwonych spódniczkach i czarnych manszestrowych stanikach, łączyły się uczuciem wzajemnego przywiązania, jako ogniwa jednego łańcucha. Pulchne i białe ich dłonie nie stwardniały pod nawałem pospolitej pracy, żywe ich myśli rwały się po za krańce tego małego światka, którego granicę stanowiły dwa pasma skalistych gór, Terracino i Sonnino, a łaknąca pokarmu wyobraźnia chwytała chciwie czarodziejskie baśnie i legendy, jakie starzy rybacy na długich i dżdżystych zimowych wieczorach, zasiadłszy wspólnie do sieci opowiadali.

Kształty osiemnasto-letniej Gigii zdawały się wychodzić z pod dłuta Kanowy: podobnej regularności rysów, podobnie foremnej kibici, nie możnaby znaleść tylko w kraju który na prawdziwych pierwotworach natury, odwzorował ręką mistrzów swoich arcydzieła sztuki. Poważna ona była, smętna, mało mówiąca, a smętek ów płynący z zamyślonego błądzącego w przestrzeni wzroku, podwyższał jeszcze piękność tej surowej, posągowej postaci. Za to o dwa lata młodsza od niej Concetta, odznaczała się całą żywością ludu wśród którego wzrosła; czarne jej oczy błyskały z pod długich rzęs jak dwie iskry Wezuwiusza, koralowe jej usta gotowemi były zawsze do szczerego śmiechu, ukazując dwa rzędy białych niby perełki ząbków: ruchliwa ta, gibka i zwinna istota, przepędzała życie śmiejąc się i śpiewając.

Zaledwie pierwszy brzask jutrzenki zawitał do okienka małej izdebki którą stary Lorenzo nam odstąpił, ulubiona śpiewka Concetty rozlegała się wśród chaty rybaka.

Titi, stary brytan, poczciwy stróż domu a przyjaciel wszystkich jego mieszkańców, odpowiadał przytłumionem szczekaniem na znak powitania. Paolo i Nino zaprzęgali do dwukołowego wózka doświadczonego Cińcia (tak bowiem jako prawdziwi Sycylianie nazywali swego osiołka) *) Lorenzo obejrzawszy raz jeszcze z kilkoma innemi towarzyszami sieci. wołał donośnym głosem „avanti“! i wkrótce nikło wszystko na zakręcie wąwozu, a w chacie wrzącej przed chwilą gwarem i rozmową udających się na połów rybaków, rozlegała się tylko piosenka Concetty.

— Wstawajcie Siniori forestieri!... wołała mała Pepina, stukając do drzwi naszych: już słońce ukazuje się na wschodzie, a śniadanie oddawna was czeka...

— Zaraz, zaraz diawolino! mruczał towarzysz mej podróży, kładąc bluzę i czerwoną rybacką czapeczkę, który to ubiór nosiliśmy nie chcąc odróżniać się strojem od innych mieszkańców gór — zaraz, zaraz: mleko się nie zwarzy, a brocholi nie rozgotuje— bądźcie cierpliwe moje panny.

I za chwilę zasiadaliśmy do wspólnego posiłku.

Pepina śmiała się z naszego wywczasu.

— Niech odpoczną, mówiła Gigia do siostry ze zwykłą sobie powagą; dosyć się oni namęczyli przebywając tyle gór i morz ażeby dostać się do naszego kraju. A poczciwi ludzie pokochali naszą ziemię — nie gardzą prostym ludem ani też obyczajami biednego rybaka...

Otarła dłonią cisnącą się łzę.

— Gigia, rzekłem ściskając ją za rękę— dla czegoś zawsze smutna?

— Bom nieszczęśliwa!.. szepnęło dziewczę, oddalając się szybko.

Więc i w tem ustroniu, w tem młodem nieskażonem burzami życia sercu, zakwitło nieszczęście?

Nie śmiałem badać: zaufanie nie zdobywa się ale pozyskuje.

Tymczasem dnie następowały zwykłą koleją po sobie. Ciche one były i jednostajne, a przecież pełne poezyi i uroku. Większą ich część przepędziłem błądząc samotnie w pośrodku tych gór niebotycznych, dolin rozkosznych i gajów cienistych. Czasami godziny całe siedziałem na szczycie stromej skały, mając pod nogami niezgłębioną przepaść, nad głową jasne niebo Italji, a w myśli wspomnienie ubiegłej przeszłości. Mały Nino którego brałem niekiedy ze sobą, ażeby nie zbłąkać się wśród niedostępnych wąwozów, zabawiał się wędką nad brzegami strumyków.

Szczęśliwe te lata dziecinne: przeszłość dla nich jest godziną, przyszłość wiekiem, a obecna chwila niewyczerpanym skarbem rozkoszy!

W jednej z takich wycieczek, zagłębiwszy się więcej jak zwykle wśród gór, a czując się znużonym, spocząłem w cieniu oliwnego lasku. Pod mojemi sto-

---

*) Zwierzę to w Sycylji tylko podobnie nazywają, w innych bowiem częściach Włoch, osioł zowie się Sommaro.

pami ciągnęły się głębokie parowy zakończone wysoką i stromą skałą, na której wydeptane przez stada kóz ścieżki wiły się w rozmaitych kierunkach po nad przepaścią.

O dziwy! tą niebezpieczną zawieszoną pomiędzy niebem a ziemią drogą, posuwała się zwolna postać ludzka.

A nie był to żaden z mieszkańców gór ani też przyległego miasteczka Sonnino: jasno blond włosy okazywały cudzoziemca, spiczasty z szerokiemi skrzydłami kapelusz i tłomoczek zarzucony na plecy turystę; szedł wolno, zatrzymywał się co chwila, podejmował jakiś przedmiot z ziemi i obejrzawszy rzucał z oznakami niezadowolnienia.

Śledziłem tak niewidziany wszystkie jego ruchy, wysnuwając w myśli szereg domniemywań równie nieprawdopodobnych i nadzwyczajnych, jak nadzwyczajną była wśród tej samotnej ustroni postać cudzoziemca — gdy nagle nieznajomy ów stanął, cisnął kapelusz o ziemię, potarł dłonią czoło, i usiadłszy na brzegu ścieszki, zaczął grzebać małym żelaznym szpadelkiem w piasku.

— Nino! zawołałem półgłosem.

Chłopczyna zostawił swe wędki i zbliżył się do mnie. W miejsce zapytania wskazałem na postać zwieszoną nad przepaścią.

— Povero! westchnęło dziecię.

— Znasz go?

— E matto! (szalony), odpowiedział.

Powróciwszy do chaty i znalazłszy wszystkich jej mieszkańców zgromadzonych, opowiedziałem im moje zdarzenie.

— Niedocieczonym jest Bóg w swoich wyrokach, wyrzekł poważnie stary Lorenzo, wysłuchawszy słów moich cierpliwie. Francuzi mają się za doskonalszych ludzi od nas, narzucają nam swoją wyższość równie jak narzucili swoją opiekę, a chociaż w ich kraju słońce nie tak mocno pali, choć rzeki ich nie wydają z łona swego mgły zabójczej jak nasze bagna pontyjskie, przecież czoła które podnieśli w dumnej bezbożności, Bóg chyli częstokroć ku ziemi upadkiem szaleństwa. Francuz którego widzieliście jest tego świeżym przykładem. Zamieszkał on w wiosce Serrano, w chacie rybaka Carlo: spokojny, cichy, małomówny nikomu nie stoi na zawadzie — dnie całe przepędza bawiąc się piaskiem niby nieudolne dziecię. U nas pogardzonych niedołężni tylko starcy dziecinnieją, u nich dumnych swoją wielkością, upadek w sile wieku następuje.

Nazajutrz udałem się w to samo miejsce chcąc poznać bliżej nieszczęśliwego. Nie zawiodłem się w swojem oczekiwaniu: wchodząc do wąwozu ujrzałem go zdaleka siedzącego u stóp góry; rozgrzebywał jak wczoraj ziemię szpadelkiem nasypując nią małe blaszanne puszki stojące do koła.

— Pozdrowienie towarzyszowi samotności, rzekł po włosku widząc mnie zbliżającego się.

— Szczęść Boże waszej pracy, odrzekłem po francusku.

— Znacie więc i moją narodowość i rodzaj mej pracy? zapytał z zadziwieniem.

— Mieszkamy niedaleko od siebie, wiem że jesteście Francuzem; co się zaś tyczy waszej pracy...

— Nie wspominajcież o niej nikomu, proszę was. Dzienniki nasze tak są chciwe nowych wiadomości, tak skwapliwie ogłaszają światu niedokonane dzieła poczęte zaledwie w myśli. Patrzcie na moje skarby, dodał pokazując blaszane kubki z których każdy napełnionym był do połowy ziemią: to jest dzieło dwunastu dni wysileń, mozołów i trudów wszelkiego rodzaju. Ażeby dostać trochę tej glinki białej musiałem spuścić się w głąb niedostępnej przepaści; żaden przewodnik nie chciał mi towarzyszyć, życie moje wisiało na włosku: jedno fałszywe stąpnięcie, jedno usunięcie się łomu a jam ginął w głębinach nieznany, niepożałowany, bez wspomnienia i pogrzebu...

— I dla czegoż się tak narażać? rzekłem machinalnie prawie, nie umiejąc sobie wytłumaczyć jeszcze mowy nieznajomego.

— Dla czego? — pytacie; zawołał chwytając mnie za rękę — czyż serce wasze nigdy nie zabiło tylko do czarnych lub niebieskich oczów? Czyż w duszy waszej nie urosła nigdy myśl wielka, olbrzymia, któraby się stała dźwignią moralną całej waszej istoty? Dla czego pytacie? powtórzył jeszcze a oczy jego błyszczały ogniem zapału. Czyż nie wiecie że jest coś niepojętego dla ogółu, ubóstwianego przez wybranych, co stawiamy więcej jak szczęście, jak miłość, jak bogactwa, coś jaśniejszego jak słońce, piękniejszego jak marzenia przyszłości, świętszego jak zimny obowiązek, że to coś, to widmo nieujęte, ta mgła rozpraszająca się w przestrzeni, za którą gonimy wszyscy, nie mogąc niestety doścignąć, zowie się sławą?

d. c. n.

Przegląd literacki.

Opiekun Domowy.

Ostatni kwartał 1874.

W braku czasopisma specyalnie i wyłącznie pedagogicznego, na które Bóg wie jeszcze jak długo czekać nam wypadnie—tak wątpliwe byłyby warunki istnienia i szanse powodzenia — musimy uważać Opiekuna Domowego za pismo *przeważnie* pedagogiczne, w którem sprawa wychowania, głównie domowego, na pierwszym powinna być planie.

Zwracając więc przedewszystkiem uwagę na dział wychowawczy, zanotujemy tu takie pożyteczne prace jak Pierwsze pożywienie dzieci. Uwagi ogólne o wychowaniu i wykształceniu dziewcząt i szereg artykułów Małe Dzieci. Te ostatnie zresztą grzeszą rozwlekłością, a czasem, jak np. pierwszy, nieco wodnistym sentymetalizmem. Za to autorka Uwag ogólnych zapatruje się na przedmiot swój zdrowo i umiejętnie, nie należy ona bynajmniej do owego obozu chorobliwej emancypacyi, czuję porzebę reformy przedewszystkiem w swerze życia rodzinnego, jak tego dowodzą choćby następujące słowa: zamiast ubiegać się koniecznie o dyplomy uniwersyteckie, obróćmy raczej naukę na korzyść rodziny (Nr. 40 str. 318).

Z artykułów hygijenicznych, które musimy tu powiedzieć na pochwałę Opiekuna — umieszczane są prawie stale w jego szpaltach, zasługuje na uwagę wydrukowany w Nr. 44 tłomaczony z Bocka. Słynny ten doktór (niedawno zmarły) należał do godnej uwagi falangi postępowych lekarzy, nieprzyjaciół aptekarskich medykamentów, którzy nie wahają się publicznie przekonywać ludzi o bezużytności, a nawet o szkodliwem działaniu łacińskiej kuchni, podnosząc natomiast zbawienne skutki wody, ruchu, czystego powietrza i należytego żywienia się jako *jedynych* skutecznych lekarstw. Ta sama myśl przebija właśnie i we wzmiankowanym artykule, skierowanym głównie przeciwko tak zwanym środkom wzmacniającym jak żelazo, chinina, kąpiele zimne itd. które według Bocka, nie mają *żadnej wartości*.

Z rzeczy mających związek z przeszłością, polecamy uwadze naszych czytelników bardzo ciekawy opis zbiorów archeologicznych hr. Mieroszewskiego w Krakowie i gawędę tradycyjną p. t. Twardy Kamień i Ostra Kosa.

Powieściowego żywiołu w ostatnich numerach Opiekuna pochwalić nie możemy: wybór powiastki Sachera Masocha uważamy za niefortunny, na co już i inne pisma zwróciły uwagę. Niemiecki ten powieściopisarz, lubujący się w okropnościach i makbetowskich obrazach, maluje niby życie galicyjskie, ale zna je tylko o tyle, ile go dojrzał przez okno kancelaryi policyjnej lub więzienia, gdyż był podobno urzędnikiem policyjnym we Lwowie. Nam szczególniej nie wypada brać z drugiej ręki obrazów niby-galicyjskich fantastycznie wymęczonych a czasem i tendencyjnie spaczonych.

Mniej jeszcze stosowne w naszych oczach są bardzo obszerne (w 5 numerach mieszczące się) listy dwóch autorek o niedawno ukończonej w Opiekunie powieści Bez Opieki pióra jednej z tych autorek. Powieść to była, zdaniem naszem, dość słaba; jeżeli już jednak czytelnicy zdołali ją przełknąć, wypadałoby na tem poprzestać. Tymczasem inna autorka sporządziła sążnisty komentarz do owej powieści swojej po piórze koleżanki, w którym z prawdziwie kobiecą wyobraźnią, snać dużo mając wolnego czasu, na rozmaite tempa snuje i rozcieńcza dzieje powieści, studyuje charakter jej bohaterki, jak gdyby to była Ofelija albo Aldona. Ze swojej strony autorka, zaczepiona tak przyjemnie, odpowiedziała rozbiorem innej znowu powieści pióra pierwszej pisarki i oto obie te panie urządziły sobie bardzo przyjemną pogadankę, porównywając stworzone przez siebie typy powieściowe i, naturalnie, chwaląc się wzajem. Wszystko to bardzo układne i grzeczne, mogłoby ujść z pewnością w towarzyskiej pogadance (rozumie się, w znacznem skróceniu), ale częstować takimi rozbiorami czytelników i to, jak powiedzieliśmy, aż w pięciu numerach (Nr. 41, 42, 43, 44, 45) to już doprawdy dowodzi chyba tylko tego, że redakcya nie miała czem wypełnić swoich szpalt. Jeżeli ten oryginalny pomysł powtórnego, że tak powiemy roztaczania kobiecych powieści i wzajemnego porównywania się wejdzie w zwyczaj, wypadnie dla pomieszczenia takich paraleli założyć nowe osobne pismo p. t. Porównawcze powieściopisarstwo.

W odcinku zatytułowanym Ślady Życia spotykamy się często z niejedną znaczącą wiadomością. Na ten raz przytoczymy tylko jedną o jakiejś pannie na prowincyi, która (panna nie zaś prowincya) dała odkosza starającemu się o jej rękę z powodu niedostatecznego wykształcenia konkurentowi. O błogosławiona prowincyo, w której choć jeden podobny fakt rzeczywiście mógł się zdarzyć, gdyż co do nas, niestety, wyznajemy że o czemś podobnem dowiadujemy się po raz pierwszy. Słyszeliśmy o arbuzach ze względów wieku, niemiłej powierzchowności lub niedostatecznego majątku, ale dla wykształcenia! No proszę,.. żart na stronę, ale taki objaw istotnie świadczyłby o prawdziwym i ważnym niezmiernie postępie (nie gniewajcie się czytelniczki, ale prawda, choć smutna, przedewszystkiem).

Od nowego roku Opiekun powiększył format, rozszerzył program i nawet przystroił się w ilustracye. Życzymy mu powodzenia, tem bardziej że to pismo widocznie uwalnia się od dawnych krańcowych pseudopozytywnych teoryjek i dąży do spokojnego i bezstronnego na świat i ludzi poglądu. Z Niwą rzecz się ma tak samo, tak że widocznie warszawski pozytywizm jest na schyłku swego istnienia: przestał on już podobać się jako nowość, a jeżeli jeszcze popłaca to chyba tylko u bardzo młodych zielonych główek, jak tego dowodzi ta okoliczność, że obydwa godne uwagi pisma, niedawno jeszcze naleciałościami owego pozytywizmu zarażone, szybko i pomyślnie otrząsają się z tych naleciałości.

Najpilniejsze ekonomiczne potrzeby kraju

przez Jana Jeleńskiego.

Jest to broszurka niewielka, ważna jednak kwestyami w niej rozbieranemi. Dotykają one wszystkie go-

spodarstwa społecznego, a więc nauki najpotrzebniejszej, bez której dotąd postępując w padliśmy w położenie pod względem ekonomicznym nie nader ponętne.

Stan ten rzeczy właśnie autor przedstawia i podaje rady jak złemu zapobiedz, a chociaż nie wszystkie z nich są praktycznemi, nie wszystkie wypływają z głębszego i obszernego na rzeczy poglądu, zawsze jednak zasługują na bliższe w nich rozpatrzenie. Do znajomości prawd ekonomicznych z umiejętnem stosowaniem ich do potrzeb własnej społeczności, nie łatwo się przychodzi: potrzeba na to i czasu i długich studyi a więc i lat życia, i pracy mozolnej. Kraków powiadają nie odrazu zbudowany i my też poprawę dobrobytu społecznego nie od razu zbudujemy, ale i pierwsze cegiełki, pierwsza garść wapna do tego przygotowana ma swoje wielkie znaczenie. W zakresie stosunków wiejskich radzi autor, aby kwestya służebności jak najprędzej załatwioną została na drodze dobrowolnej umowy, do czego pierwszy przykład powinni dać większi posiadacze. Jest to słuszne nader żądanie, więksi zawsze mniejszym powinni przewodniczyć, tylko to nieszczęście, że owi więksi mało na to baczą, szczególniej w chwilach małych osobistych korzyści a wielkich obowiązków. Wykupywanie majątków ziemskich przez Niemców, jest wielkiem złem które nas trapi nie od dziś dnia dopiero. W ten to sposób wyparto Słowian z nad Elby i Sali, później zniemczono Wielkopolskę, dziś przychodzi kolej na nasze Powiśle. Aby się oprzeć tej nawale cudzych kapitałów, autor radzi zmuszonym do pozbycia się, częściowe przedawanie gruntów włościanom.

Zapewne, że rada to bardzo skuteczna: Niemcy nie mogąc kupić nie staną się ziemi naszej nabywcami, ale czy sprzedający zawsze znajdą dość chętnych własnych kupców i w warunkach odpowiednich potrzebie? Gdy wyzucie z mienia grozi nędzą, tam w środkach uchronienia się jej trudno przebierać. Autor wprawdzie radzi wczesne uprzedzanie tej krytycznej chwili, podniesienie moralne przez zrzeczenie się pewnej dozy pańskości, ale to rady niepraktyczne. Z nadziei ratunku tym lub owym sposobem nie łatwo się wyzuć, a pozbyć nałogu także trudno. Potrzebną więc jest inna rada, czyli Towarzystwo parcelacyjne ale utworzone nie dla ostatecznego obdzierania ginących, tylko dla rzeczywistego ich ratunku. Zamożni ziemianie posiadający znakomite kapitały jakich u nas nie brakuje, powinni przyłożyć ręki do tej pracy prawdziwie obywatelskiej.

W celu podniesienia miasteczek naszych zaludnionych partaczami rzemieślnikami i handlarzami, radzi autor przenoszenie się do nich zbytecznych w Warszawie warsztatów rzemieślniczych i większy udział w handlu ludności chrześcijańskiej. I to rada niepraktyczna.

Przenoszenie się takie rzemieślników z Warszawy do miasteczek, odbywać się może jedynie w lepszych widokach korzyści: gdy tych nie ma przenoszenie nastąpić nie może. W miastach większych warsztaty rzemieślnicze na lepszej stoją stopie, bo je wywołała potrzeba miejscowa i ta je utrzymuje, gdy więc w miasteczkach ta potrzeba powstanie, przesiedlanie się samo z siebie nastąpi. Należy ją zatem wywołać, a wpłynąć na to może jedna tylko oświata ludności skupionej w miasteczkach i w ich okolicy. Co do handlu byłoby zapewne wybornem, aby partaczy i oszustów handlarzy zastąpili ludzie uczciwi, ale nie trzeba zapominać, że ci partacze mają rutynę i doświadczenie których dobre chęci nie zastąpią, i że do walki z niemi skutecznej wystąpić jedynie może nauka wzmocniona praktyką. Dajmy ją ludności chrześcijańskiej, a handel miasteczek zajmie właściwe sobie stanowisko.

W stosunkach rolniczych, rada autora urządzania Towarzystw wkładowo zaliczkowych na wzór istniejących w Grójcu i Kutnie, wyborna. Jest to pomoc własna, wolna od zdzierstwa i wyzyskiwania i może niezmiernie zbawienne wywołać następstwa. Tak samo i otwieranie domów komisowych byłoby bardzo pożytecznem, byle prowadzone były ze znajomością rzeczy, której nabywa się stosownem tylko poprzedniem do tego przygotowaniem. Dla młodzieży zamożniejszych rodziców otwarte to pole dla własnej i całego kraju korzyści.

Dla podniesienia przemysłu rolnego, radzi autor zakładanie fabryk cukru siłami samych plantatorów buraków, oraz tworzenia spółek dla podniesienia młynarstwa, przedaży drzewa i zboża przez samych także producentów, zapominając jednak, że być razem rolnikiem przemysłowcem, fabrykantem i kupcem jest niepodobieństwem, bo jest to chwytanie nie dwóch już srok za ogon ale kilku naraz. Jakie z tego następstwa łatwo się domyśleć. Przytem jeżeli wywóz mąki z kraju nie zboża przez podniesienie młynarstwa, wielką przyniesie korzyść, to nie można tego powiedzieć o cukrownictwie, które u nas skupiając się w rękach coraz większych kapitalistów, utrzymuje się jedynie przez oclenie cukru z zagranicy przychodzącego. Produkcya więc jego jest droższa niż ną obczyznie, aby go więc mieć swój własny dopłacamy, co stratę wielką przynosi, bo bogactwo społeczne wzrasta tylko wtenczas, jeżeli wywozimy z kraju to co sprzedajemy za granicą drożej niż nas w kraju kosztuje, a sprowadzamy to co nabyć możemy taniej niż produkcya tego na miejscu kosztuje. Przewyżki tem sposobem bogacą kraj rzeczywiście, a jak prywatny traci robiąc np: w domu świece gdy je o grosz taniej z fabryki może otrzymywać, tak samo traci kraj gdy przemysł jaki utrzymuje, mogąc produkta jego taniej nabyć za granicą.

W wyzyskiwaniu bogactw górniczych przez obcych przemysłowców, autor widzi wielkie straty dla kraju. Są one rzeczywiście takiemi, jeżeli owi obcy przemysłowcy zgromadzają zarazem i wszystkich robotników z obczyzny; w przeciwnym zaś razie jeżeli posługują się miejscową ludnością, przynoszą krajowi prawdziwy pożytek, bo wytwarzają nowe źródło dochodu nieznane przedtem. Ich praca, inteligencya, kapitały przemieniają się w zasób społeczny, a że zyski z tego ciągną, nie niszczy to zasobu i ten wzmagając się zawsze własnością kraju pozostanie. Koleje żelazne do podobnych także przedsięwzięć należą, i lepiejby stokroć było gdyby je budowali obcy, a kapitały miejscowe zwróciły się do roli, przemysłu fabrycznego i handlu. Prawda ta nie jest dość u nas znaną, ale autor jako zajmujący się gospodarstwem społecznem więcej znią powinien być oznajmionym. Wciskanie się takie do nas kapitałów, jest prostem następstwem wzrostu jego już nieprodukcyjnego w obczyznie. Żeby więc procentował szuka środków do tego i zwraca się tam zkąd powstał może. Nie brońmy zatem jego powrotu, nie utrudzajmy mu działania źle zrozumianym patryotyzmem w pracach istotnego dla kraju pożytku.

Chcąc dać zdanie treściwe o wartości broszurki p. Jeleńskiego, jestem w niemałym kłopocie. Nie chciałbym zganić zbytecznie aby młodego, chętnego i istotnie zdolnego pracownika nie zniechęcić: nie chciałbym także i pochwalić nadto, aby go nie wzbić w zarozumienie. Cóż więc mam powiedzieć? Otóż sąd o wartości broszurki zostawiam samym czytającym sprawozdanie, a o autorze powiem, że wpracy jego znać pobłyski trzeźwej myśli, głębszego na rzeczy poglądu, chęci szlachetnych dźwigania społecznego dobra, ale brak mu gruntownej znajomości nauki gospodarstwa społecznego, miejscowych żywiołów i ich usposobień.

Jako młody, a pełen zapału, radby każdą biedę społeczną odrazu postawić na nogi, każdą kwestyę rozwiązać jednym pociągiem pióra: zdaje mu się że co jasnem dla niego, dla wszystkich powinno być równie jasnem i zrozumiałem. Tak jednak nie jest: każdą nową myśl, nową prawdę człowiek pojedyńczy nabywa mozołem pracy, nauki i doświadczenia, cóż dopiero cała społeczność! Czasem wieku trzeba na wcielenia w nią jakiej najprostszej prawdy, a jeżeli trudno samemu sobie skutecznie radzić lub komuś, cóż dopiero całej społeczności w której stosunki, potrzeby, pragnienia, wreszcie prace i zabiegi wikłając się, tworzą splot nie raz dla najtęższych umysłów trudny do rozwiązania.

J. K. G.

Przegląd teatralny.

„Nietoperze,“ komedyja w 4 aktach przez Edwarda Lubowskiego.

Są ludzie którzy nakształt owych nocnych istot ukazują się tylko wtedy, gdy blaski bożego słońca zagasną: niewidzialni, lub przynajmniej okryci maską pozornej życzliwości występują ze swoich nor pośród mroków. Takich to ludzi p. Lubowski przedstawił nam w komedyi p. t. „Nietoperze.“

Treść sztuki sama przez się jest nader prostą. Pewien prezes możny w znaczeniu i bardzo bogaty, pomimo swoich arystokratycznych wyobrażeń, ulegając prośbom córki, zezwolił na jej zamężcie z niejakim Leonem Granickim, synem ślusarza. Wysokie przymioty serca i duszy, staranne wykształcenie zięcia, kazały mu powoli i nieznacznie zapomnieć o jego plebejuszowskiem pochodzeniu; i niezawodnie cała ta rodzina żyłaby w spokoju i szczęściu nie znając czem mogą być troski i zniechęcenia prozaicznego świata, gdyby nie wypełzły z ciemnych kątów owi złowrodzy a pokryci cieniami nocy szermierze. Jeden z oddalonych niegdyś konkurentów młodej Ewy, przebąknął że na honorze Granickiego cięży plama; chmara złośliwych plotkarzy kommentując na różne sposoby tę wiadomość, wyszperała w krótce, iż Leon zostawszy jeszcze w czasie uniwersyteckich swoich studyów czynnie zelżony, nie zażądał od napastnika honorowej satysfakcyi. To było aż nadto dostatecznym powodem do zamącenia spokoju uczciwej rodziny. Półsłówka, szyderskie uśmiechy, faryzeuszowskie ubolewania, szły swoim trybem; aż nareszcie smutna rzeczywistość wyjaśniła się przed zajętym urządzaniem salonów pałacu prezesem i czule gruchającą pod bokiem swego małżonka Ewą. Z początku nikt, niewyłączając starego Majora stryja Ewy a zarazem protektora młodej pary, nie chciał tyle potwornej wieści uwierzyć; gdy jednak sam obwiniony przyznał prawdziwość zarzucanego mu faktu, wszelkie powątpiewania stały się niepodobnemi. Ale Leon potwierdziwszy zarzut, wyjaśnił zarazem powody swojego, tyle przeciwnego przyjętym w świecie obyczajom postępowania. Nie brak osobistej odwagi, nie żadne uczucie nikczemnej trwogi ale łzy i rozpacz starej matki napastnika, rozbroiły jego dłoń gdy zaś w dodatku dla zamknięcia ust niechętnym postrzelił któregoś z plotkarzy, wszyscy przed chwilą jeszcze krytykujący jego postępowanie wyciągnęli ku niemu swe dłonie. On jednak zrobiwszy to ustępstwo dla opinii publicznej a więcej jeszcze może dla wyobrażeń teścia i stryja, nie myśli opierać swego szczęścia na niestałej podstawie stosunków światowych, i odtąd w objęciach przywiązanej małżonki, pod opieką ubóstwiającego swą córkę teścia, i poczciwego z gruntu choć trochę marudnego majora, będzie pędził życie unikając staranie zetknięcia z ciemnemi osobistościami, które tylko niepokój w grono uczciwych rodzin wnieść mogą.

Taką jest treść komedyi p. Lubowskiego, którą tu w krótkości podaliśmy. Widzimy z niej że autor oprócz wymienionego na początku niniejszego sprawozdania celu, ujął jeszcze w dłoń kopiję w chęci walczenia przeciwko staremu i zakorzeniałemu zwyczajowi, nakazującemu zmazać krwią doznaną obrazę. Myśl śmiała! Przesąd bowiem ten który każdy rozsądny człowiek potępia, tak się wrósł w obyczaje wszystkich narodów, iż wykorzenić go ani najbieglejszy satyryk ostrą chłostą sarkazmu, ani też najbardziej natchniony myśliciel siłą wywodów, nie zdoła. Na to potrzeba innych zupełnie czynników niżeli są te które dać może potęga słowa. Dwie drogi któremi się obecnie ludzkość kieruje sprawią, iż niezadługo może owo dzikie prawo krwi, godne średniowiecznych czasów, pozostanie tylko w naszej pamięci jako ubiegłe wspomnienie. Albo suchy i pozytywny materyalizm wypleni w nas samopoznanie osobistej godności, albo uczucie religijne, wyrodzi siłę duchową wyższą nad brutalne pojedynkowe zadosyć uczynienie. W każdym razie dążność p. Lubowskiego chociaż niepraktyczna, w zastosowaniu godną jest uznania jako uczciwa i szlachetna. Słowo prawdy wypowiedziane śmiało i bez wahania, staje się jedną z owych kropel które z czasem, po upływie wieków kruszą granity. Że zaś owa dążność, pomimo wszystkich swoich dodatnich stron jest niepraktyczną, dowodzi dalszy ciąg sztuki. Sam Leon choć wzruszony łzami matki napastnika przebaczył mu, musiał przecież dla zaspokojenia opinii publicznej szukać krwawego zadosyć uczynienia. Zawsze więc krew rozwiązała zadanie, które inaczej pozostałoby nierozstrzygniętem; tylko zdaniem naszem, nierównie sprawiedliwiej by było, ukarać lekką raną zuchwałego awanturnika, niżeli bezporównania mniej winnego pokątnego plotkarza.

Pan Lubowski w kreśleniu głównych charakterów wchodzących do sztuki, okazał niezaprzeczony talent; wiele znowu z podrzędnych rol komedyi naszkicowane są żywo i wybitnie. Czasami kilka zarysów wystarcza do odtworzenia całej postaci: w znacznej jednak liczbie poruszających się a ożywionych odrębnemi cechami charakteru osobistości, znajdują się i takie którym zabrakło promeuszowskiego ognia. W ogóle kobiety a szczególniej czuła Ewa, wyszły słabiej. Żyjący z funduszów swej żony Zmijski (p. Szymanowski) pełen życia na dwóch pierwszych przedstawieniach, stał się mechanicznym automatem na następnych, ale to już nie jest winą ani autora, ani też artysty, ale postronnych okoliczności których tu dotykać nie mamy zamiaru!

Za szczególną poczytujemy zasługę p. Lubowskiemu iż kreśląc główne, a nawet szkicując drugorzędne charaktery unikał starannie powtarzania typów zużytych i przestarzałych, któremi zazwyczaj występujący po raz pierwszy przed publicznością autorowie drammatyczni szafować lubią. Prezes, nie prawi przesadzonych o blasku swojego rodu frazesów, ani też nie jest zmuszonym wysłuchiwać od niecnych morałów o równości stanów, o wyższości inteligiencyi nad zbutwiałemi przywilejami i t. d. Major choć podobny do wszystkich b. majorów, posiada przecież niektóre wyróżniające go od rzeszy gderających ex-wojskowych cechy. Babulewicz, Nestorowicz a nawet i Cierpniewski to ludzie z ciała, krwi i kości. Leon znów przestawszy raz na zawsze być inżynierem poszukującym torfu, nafty lub innych skarbów królestwa kopalnego pozostaje samym sobą, synem rzemieślnika który własną pracą dorobiwszy się stanowiska na świecie, żyje życiem czynu i nie zabawia się prawieniem nudnych morałów starszym, a zatem doświadczeńszym od siebie ludziom.

Jednem słowem oryginalność w pomyśle i rozwinięciu sztuki wszędzie jest widoczną. Autor kształcąc się na wzorach idzie za własnem natchnieniem i nie podaje cudzych myśli, jakto nam zdarzyło się niejednokrotnie w ostatnich czasach widzieć, za swoje. Rozkład scen trafny, wejścia i wyjścia osób naturalne, stopniowanie interesu biegle przeprowadzone, i żadnej przesady, najmniejszej frazeologii w dykcyi oto są jeszcze oprócz talentu w kreśleniu charakterów i poczciwej myśli zasadniczej, dodatnie strony komedyi. Do ujemnych policzymy cokolwiek przydługą ekspozycyę efektową, choć grzeszącą brakiem konsekwetności, scenę Zmijskiego z najmniej winnym ze wszystkich nietoperzy Nestorowiczem, którego choćby tylko wiek podeszły, powinien był zasłonić od napaści dosyć wyrozumiałego dla rzeczywistych plotkarzy młodzieńca; a nakoniec rozwiązanie ciągnące się pomimo dostatecznego wyjaśnienia przez trzy (zupełnie zdaniem naszem zbyteczne) sceny.

Rozwiązanie podobne, połączone z wstrętną dla widza ucieczką plotkarzy, stało się przed kilkudziesięciu laty powodem zupełnego upadku jednej z niezłych sztuk Hr: Fr. Skarbka p. t. „Kwiryn.“ W Nietoperzach znużyło ono publiczność ale jej nie zniechęciło, owszem przeciwnie sztuka ta ma niezmierne powodzenie. Dlaczego tak jest? bo „Nietoperze“ pomimo drobnych niedostatków które wymieniliśmy, należą do rzędu lepszych utworów dramatycznych jakie widzieliśmy na deskach teatru rozmaitości, i dają niepłonną nadzieję iż p. Lubowski przy dalszej pracy w kierunku dramatycznym, zajmie jedno z pierwszych miejsc w poczecie naszych drammatycznych pisarzy.

Artyści wywiązali się po większej części zaszczytnie ze swego zadania. P. Stolpe okazał odpowiednią a nieprzesadzoną bynajmniej dystynkcyę, p. Rapacki uwydatnił najdelikatniejsze odcienia swej roli, pan Ostrowski oddageorotypował z talentem, jeden z typów trwożliwych w obec światła nietoperzów, a w panu Tatarkiewiczu nie spostrzegliśmy tym razem najmniejszej sztywności. Odegranie roli Leona Granickiego ze szlachetnością i odbłyskami prawdziwego zapału w scenie opowiadania o zajściu uniwersyteckiem, niepozostawiło nic do życzenia; nawet krótka rola Cierpniewskiego, tak co do wybornej charakterystyki jakoteż przedstawieniem zgryźliwego charakteru, miała w p. Chomińskim odpowiedniego tłomacza. Co zaś do p. Żółkowskiego, nikt się nie zdziwi iż z naszkicowanej zaledwie, chociaż nader trafnemi przez autora rysami figury starego pieczeniarza, utworzył artystyczne wykończony obrazek. Pani Borkowska w roli Zmijskiej nie uwydatniła dosyć charakteru energicznej małżonki — owo przypominanie swej władzy w wymawiania wyrazu:“mężu!.. przechodziło prawie zawsze niepostrzeżenie. Biedna zaś, ciągle gruchająca i trochę ślamazarne Ewa (panna Mazurowska) była za monotonną. Kilkakrotnie w czasie trwania sztuki zadawaliśmy sobie pytanie, jakim to szczególnym zbiegiem okoliczności, tak wysoko wykształcony z tak szerokim poglądem na świat i na ludzi Leon, mógł dać się skusić i pociągnąć w objęcie hymenu przez podobną Ewę? Na rozstrzygnięcie powyższej kwestyi, nie znaleźliśmy innej odpowiedzi, jak stare łacińskie przysłowie: De gustibus non est disputandum.

Ludwik Niemojowski.

EGZAMIN UCZENNIC
W Zakładzie Spółki połączonej pracy kobiet.

W dniu 17 b. m o godzinie 1-szej z południa w Zakładzie S-ki Połączonej pracy kobiet przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 28 w obecności przewodniczących i licznie zebranych gości, odbył się egzamen, uczennic które ukończyły kursa buchalteryi krawieczczyzny i kroju bielizny. Egzamin ten odbył się bardzo porządnie i systematycznie, uczennice na praktyce dowiodły iż wiele skorzystały, świadectwa uzdolnienia otrzymało osób 14. pomiędzy niemi było kilka które pobierały naukę bezpłatnie, z czego widać, że S-ka chociaż przemysłowo-handlowa nie same tylko zyski ma na celu.

Egzamin taki odbywa się co 3 miesiące, gdyż wykład rzemiosł ma miejsce cały rok bez przerwy, tak że w każdej chwili na kursa zapisać się można, uczennice z prowincyi S-ka umieszcza na żądanie przy zakładzie. Wreszcie rzemiosło nieprzechodzące sił kobiecych bywa wykładane skoro 6 uczennic wykładu którego z nich zażąda: opłata za naukę jest także umiarkowana bo tylko 5 rubli miesięcznie, a czas nauki wcale niedługi, naprzykład! krawieczczyzna miesięcy 2, buchalterya 6 i t. p. Wykład prowadzony jest przez nauczycieli specyalistów, buchalteryę wykłada buchalter Banku Polskiego. Jednem słowem, z tego cośmy widzieli i czego dowiedzieliśmy się ze sprawozdania Spółki dołączonego do gazet, powzięliśmy przekonanie, iż Instytucya ta godnie spełnia swoje zadanie w kobiecym świecie. Dla czego więc organa kobiece albo przez kobiety redagowane, dotąd przeciw niej nieprzyjaźnie występowały, i dla czego tak mało spólniczek przystępuje do S-ki, która daje możność kobietom wyrabiać się w zakresie życia społecznego i samodzielnego o które się tak głośno domaga? Jest to zagadka tak trudna do rozwiązania, jak i zrozumienie samego Sfinksa, którego zowią kobietą! *K.*

Opis ryciny kolorowej.

Dwa ubrania balowe.

Fig. 1. Ubranie z białego tarlatanu. Przybranie sukni stanowi szeroki plisowany wolant i drobne falbaneczki. Suta okrągła tunika, zakończona jest riuszą i przepięta z przodu girlandą z fuksyi pąsowej z zielonemi liśćmi. Na szyi, kolczyki i bransolety perłowe. Wachlarz na złotym łańcuszku zawieszony u paska.

Nr. 2. Suknia z półtuniką i stanik z bawełem z różowego tarlatanu. Przód sukni aż do paska zagarnirowany falbaneczkami i riuszami; na tylnych brytach dane są bufy i szersze falbany. Tunika oszyta riuszą. Suto garnirowana berta, przepięta różą i kokardą na ramieniu. Dopełnienie tego pięknego ubrania stanowią rozrzucone wśród buf i falbanek róże z listkami i białą konwaliją. W miejsce bransolet przepaski z wstążki różowej. We włosach róża, konwalije i kokarda różowa. Wachlarz zawieszony na wstążce różowej. Buciki atlasowe różowe.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

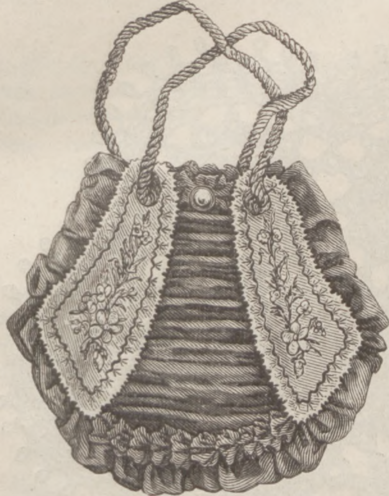
Dodatek.

Opis do N. 4.

(Ciąg dalszy).

N. 3. Sukienka z vêtement dla panienki.

Spódniczkę zdobią dwa marszczone wolanty. Szeroka taśma wełniana służy do przybrania vêtement, z marynar-



N. 1. Woreczek do robót.

skim kołnierzem, od góry zapiętego na bok. Kokardy wzdłuż przodu są z czarnej rypsowej wstążki.

N. 4. Sukienka z tuniką.

Gustowną tę sukienkę z łatwością odrobić można podług ryc. 4, z mate-

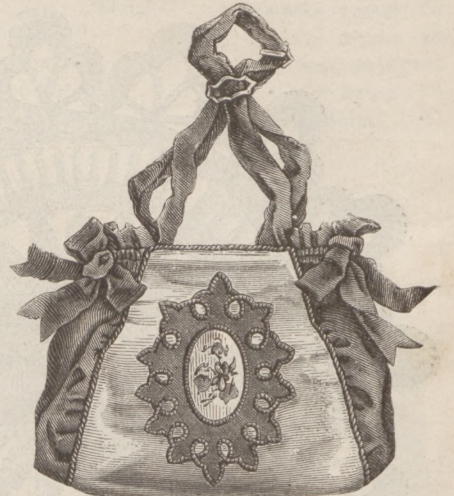


N. 3. Ubranie z polonezką dla dziewczynki. N. 4. Suknia z tuniką i karoczkiem.

ryjału gładkiego i w kratę lub z dwóch odmiennych materyjałów. Sukienka którą podaliśmy jest z materyjału brązowego gładkiego i w kratę brązową z białem.

N. 5 i 28 w N-rze 3. Suknia z półtuniką i stanikiem z baskiną.

Przód sukni czarnej jedwabnej rypsowej, zakończony jest plisowanym wolantem, w środku 20 cent. szerokim; z boków przy fartuszkowym garnirunku, wznosi się do 81 centymetrów. Far-



N. 2. Woreczek do robót.

tuszkowe przybranie składa się z pięciu plis po 11 cent. szerokich, naprzemian aksamitnej i rypsowej, podszytych skośną materyją. Końce plis zachodzą w ząb jeden na drugim i przytwierdzone są wielkiemi, szmuklerskiemi guzikami. Garnirunek tylnych brytów składa się naprzemian z jedwabnego plisowania 63 cent. wysokiego a 28



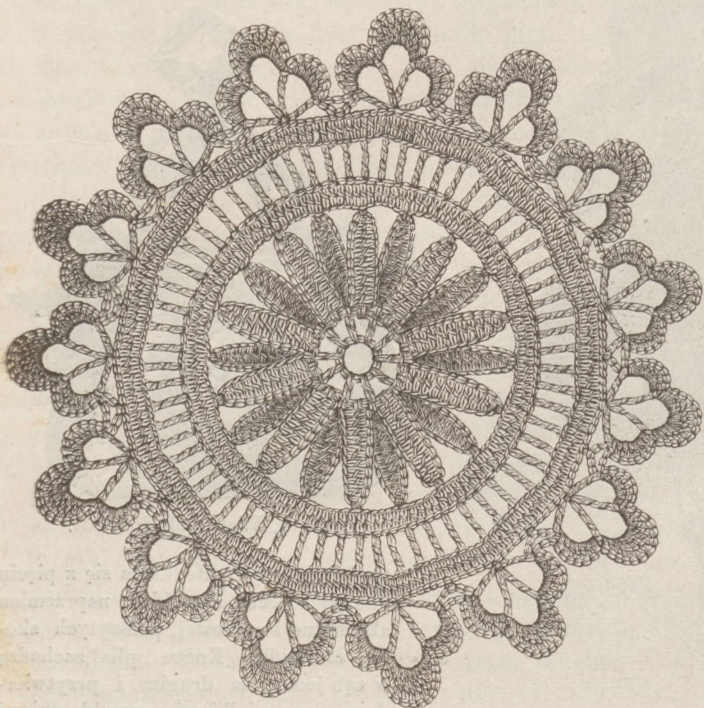
N. 5. Suknia z półtuniką i stanikiem z baskiną.



N. 6. Ubranie wizytowe z tuniką muślinową, gazową lub tiulową.

szerokiego i z bufy aksamitnej 40 cent. wysokiej a 21 szerokiej, której nagłówek podszyty jest materyją i przytwierdzony guzikiem. Tunika oszyta plisą aksamitną i koronką, wymaga dwóch prostych brytów po 60 cent. szerokich, 140 długich, które od 115 cent. brzeżnej długości są u dołu zaokrąglone; do tych brytów z boków przyszyte są kliny po 80 cent. długości, 60 u dołu, 35 w górze szerokich. Bryty te od góry z boków są założone w kilka fałdów, przez co skracają się do 43 centymetrów.

Stanik z baskiną przedstawiony z tyłu na ryc. 28 w N. 3 ma z przodu spiczastą baskinę i aksamitne wykłady, przytwierdzone guzikami i odznaczające



N. 10. Gwiazdka do serwetki ryc. 11. Wielkość naturalna.

kamizelkę, zapiętą na guziki. Brzegi stanika oszyte aksamitką i koronką.

N. 6. Ubranie wizytowe.

Suknia z trenem, stanik i kieszonka wisząca na paskach są z jednakowej materyi lub aksamitu, tunika zaś i rękawy z muślinu, gazy lub tiulu. Falbanki plisowane i koronki stanowią przybranie tuniki i rękawów.

Czarne dżetowe, lub stalowe szmelcowane perełki bardzo gęsto w równych paskach naszyte, ozdabiają stanik i kieszonkę. Stanik modną formą z bawetem i z podłużnym, mocno otwartym wykrojem, oszyty suto nadmarszczoną koronką. Na szyi aksamitka, perły i medaljon. Głowa przybrana piórami.

N. 7. Szklanna szkatułka na kosztowności.

Szkatułka taka stanowi ładny sprzęcik na toaletę; w kilku przegródkach mieścić można kosztowności, zdjęte z siebie. Wierzch stanowi tafla szklanna; na spodzie żeby biżuteryje nie niszczyły się, podłożone są lekko watowane podkładki z białego atłasu.

N. 8—9. Książeczka na bilety wizytowe.

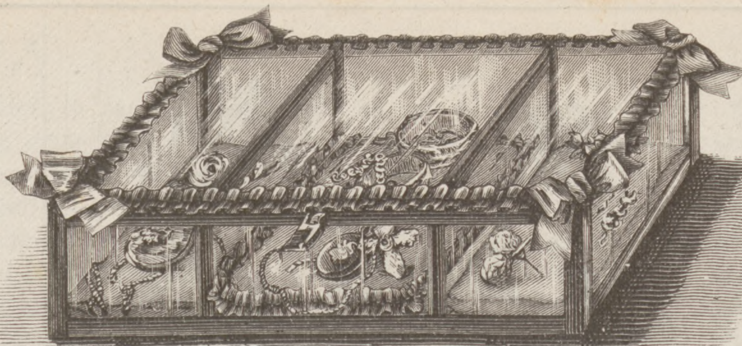
Okładkę książeczki stanowią dwie tafelki drewniane, ozdobione malowaniem którego połowę w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 9. Książeczka ta gustownie odrobiona stanowić może miły podarunek. Obie tafelki połączone są przez podklejenie kolorowym atłasem lub morą.

N. 10—11. Okrągła serwetka na meble. Robota szydełkowa.

Ładna ta serwetka spojona jest z gwiazdek szydełkowych z których jedną w naturalnej wielkości pzzedstawia ryc. 10. Środek jest podwójny, złożony z długich listków przy-



N. 9. Połowa wierzchu książeczki. Malowanie na drzewie.



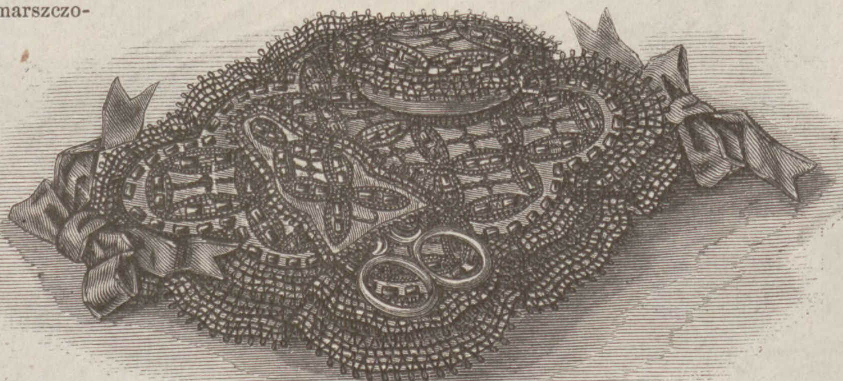
N. 7. Szklanna szkatułeczka na kosztowności.



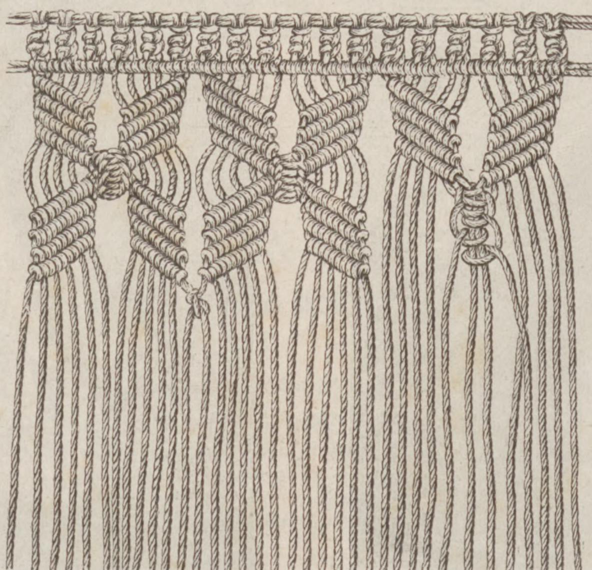
N. 8. Książeczka do biletów.



N. 12. Laleczka do założenia na lampę.



N. 13. Książeczka do igieł oraz poduszeczka i futerał na nożyczki.



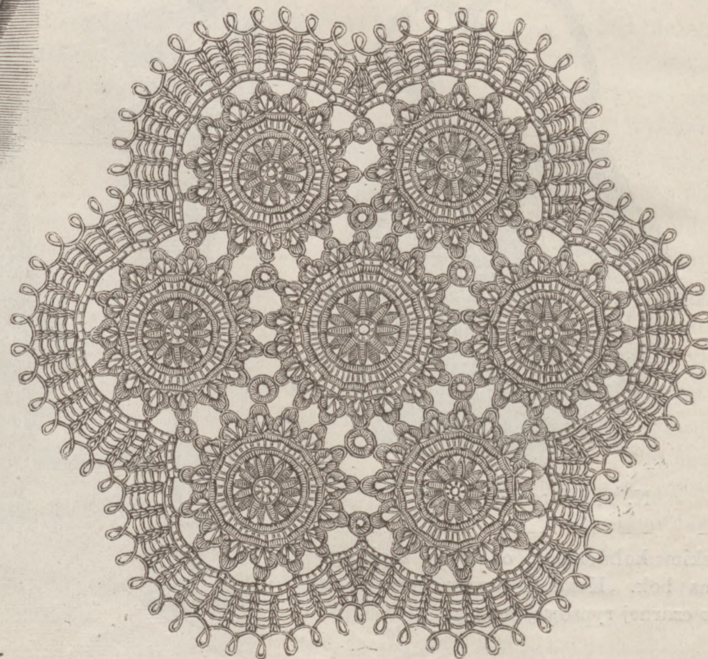
N. 14. Frendzla wiązana.

robionych do kółeczka liczącego 10 słupków. Robota jest tak łatwą iż każda z naszych czytelniczek, potrafi tę gwiazdkę odrobić podług dokładnej ryciny 10.

Całość serwetki złączonej z pojedynczych gwiazdek przedstawia ryc. 11.

N. 12. Laleczka na cylinder do lampy.

Materyjał: laleczka 11 cent. wysoka; sukno pąsowe, aksamit czarny, jedwabie kolorowe, tektura.



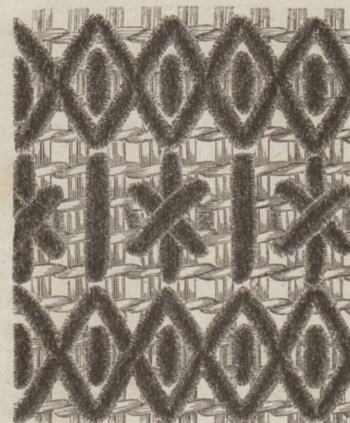
N. 11. Serwetka z gwiazdek szydełkowych.

Niższa część korpusu lalki odcina się, a natomiast przyszywa tekturową spódniczkę, do zakładania na kinkiet Spódniczka ta przykrywa się kaszmirem pąsowym i u dołu ozdabia wyszyciem; sukienka lalki odszyta z pąsowego sukna, wycięta u dołu w zęby i ozdobiona aplikacyją z liści aksamitnych, przytwierdzonych kolorowym jedwabiem. Bluzka i fartuszek wyszyte ściegiem cierniowym, są z białego muślinu. Powyżej opisane części ubrania przytwierdzają się do korpusu, przyszycie zakrywa szeroki pasek szwajcarski. Długie warkocze naklejone są na główce za pomocą gummy i robią się z peli lub włóczki dartej. Kapturek z kolorowej materyi.

N. 13. Książeczka do igieł oraz poduszeczka i futerał na nożyczki.

Materyjał: pąsowy ryps jedwabny, także wstążka 1 cent. szeroka, czarna medaljonowa i gładka plecioneczka z pikotami; jedwab czarny i pąsowy, czarne perełki, biała flanela, tektura.

Trzy w tytule wypisane przedmioty, ozdobione są robotą koronkową i podwleczone pąsowym rypsem. Brzegi koronki otacza plecionka z pikotami. Książeczka na dwóch przeciwległych rogach związane kokardami z pąsowej wstążki, składa się z dwóch jednakowych kawałków tektury, wyciętych w zęby, poszytych rypsem i ozdobionych koronką. Do tekturek tych przyczepiają się kawałki sukna do wkładania igieł. Futerał na nożyczki i poduszeczka do śpilek przytwierdzają się na wierzchu podług ryc. 13.



N. 15. Wyszycie sznelką, na koszyczku ryc. 17.

N. 14. Frendzla wiązana z koronki.

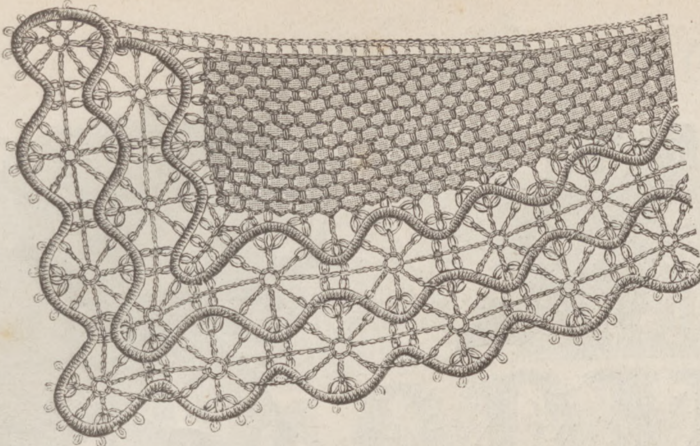
W ostatnich Numerach przeszłorocznych opisywaliśmy sposób wiązania takich frendzli. Frendzla podana na ryc. 14 ma nagłówek wiązany w gwiazdy.

N. 15. Wyszycie sznelą do ryc. 18.

N. 16—17. Dwa rogi do kołnierzyków.

Robota szydełkowa z mignardis-

i haft angielski z koronką. Dwa rogi do kołnierzyków, przedstawione z całą dokładnością na ryc. 16 i 17, są formą wykładaną, odpowiednią szczególniej dla o s ó b starszych. W miejsce plecionki użyć można tasiemeczki w ząbki lub plecioneczki koronkowej.



N. 16. Róg kołnierzyka robotą szydełkową i plecionki mignardise.

N. 17. Róg kołnierzyka. Haft i koroneczka.



N. 18. Koszyczek do robót lub na kluczyki, wyszyty sznelą.

N. 18 i 15. Koszyczek do robót lub kluczyków, ozdobiony haftem z e szneli.

Materyjał: sznelka, m a t e r y j a i wstążka koloru błękitnego.

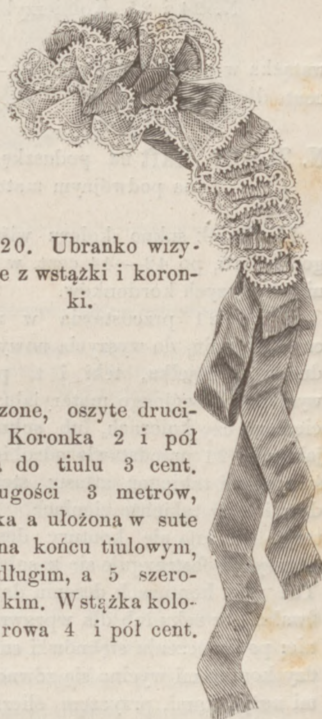
Koszyczek taki stanowi r o b o t ę bardzo odpowiednią na podarunek od młodej panienki. Pleciony jest z białej trzcinki na $12\frac{1}{2}$ cent. szerokości, a 24 długości. Ażurowe brzegi $6\frac{1}{2}$ cent. wysokie, plecione na podobieństwo kanwy wyszyte są błękitną sznelą podług ryc. 15. Od środka koszyczka podszywa się błękitna materyja, w górze dodaje riusza z wstążki.

N. 19. Ubranko wizytowe z kwiatów i z wstążki w dwóch cieniach.

N. 19. Ubranko wizytowe z kwiatów i wstążki w dwóch cieniach.

Pasek z sztywnego tiulu, oszyty drucikiem, 25 c e n t. długi a $2\frac{1}{2}$ szeroki z przodu w odstępie 10 cent. założony w dwa zęby a z tyłu zszyty w kółko, stanowi podstawę ubranka.

Marszczona biała blondyna 125 cent. długa, otacza brzegi kółka, do którego z prawej strony przypięta jest róża i parę polnych kwiatów. K o k a r d a dodana z przodu, ułożona jest z 80 cent. wstążki w dwóch cieniach. Ciemniejsza wstążka przechodzi z lewej strony po nad blondyną i spada z tyłu w końcu 38 cent. długim. Drugi koniec, przewiązany w węzeł po za różą, spada na 30 centymetrów.



N. 20. Ubranko wizytowe z wstążki i koronki.

N. 20. Ubranko z wstążki i koronki.

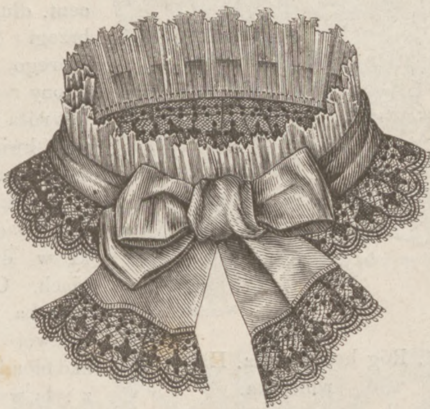
Podstawę tego ubranka stanowi kółko sztywnego tiulu mające 13 c e n t. średnicy, z brzegów dla wypukłości trochę nadmarszczone, oszyte drucikiem a objęte wstążką. Koronka 2 i pół cent. szeroka, przyszyta do tiulu 3 cent. szerokiego na długości 3 metrów, otacza brzeg ubranka a ułożona w sute kontrafałdy, spada na końcu tiulowym, 13 cent. długim, a 5 szerokim. Wstążka kolorowa 4 i pół cent. szeroka, cięta na 7 cent. długie kawałki, wysiepane z brzegu, wszywana jest między fałdy koronki na wierzchu ubranka i w końcu spuszszonym; poniżej spada



N. 22. Haft na poduszkę. Patrz ryc. 21.

N. 21. Czwarta część wyszycia na poduszkę ryc. 22.

N. 23. Wyszycie krzyżykami na kanwie Jawa.



N. 24 i 25. Kołnierzyk i rękawek.



N. 26—27. Kołnierzyk i rękawek. Patrz ryc. 28.

wstążka w puklu i końcach 36—40 cent. długich.

N. 21—22. Haft na poduszkę. Haft stębnówką na podwójnym materyjale.

Materyjał: sukno koloru wiśniowego i atlas tegoż koloru, po 42—44 cent. w kwadrat; kilka cieni jaśniejszych kordonków.

Rycina 21 przedstawia w naturalnej wielkości część deseniu, do wyszycia nowym sposobem na poduszkę, krzesełka, teki i t. p. Haft stębnówką wymaga podwójnego materyjału np. sukna w dwóch cieniach czy kolorach, lub sukna i atlasu. Wzór jaki ryc. 21 przedstawia odrobiony jest z sukna wiśniowego i takiegoż atlasu; stębnówka dodana jedwabiem w takichże cieniach. Na zwierzchnim materyjale rysują się kontury deseniu następnie oba materyjały fastrzyguje się z sobą bardzo dokładnie. Tuż przy konturach deseniu daje się stębnówkę jedwabną, w ręku lub dla wprawnych osób na maszynie; po skończeniu stębnówki sukno pozostałe między konturami wycina się równo niezmiernie ostremi nożyczkami, przyczem ślicznie występuje deseń ze świecącego atlasu. Każdy deseń arabeskowy można zastosować do takiego wyszycia stębnówką. Ryc. 22 podaje w maleńkim formacie całość deseniu.



N. 29. Ubranie z paletotowem okryciem.

N. 23. Wyszycie krzyżykami na kanwie Jawa.

Materyjał: czarny jedwab i włóczka andaluzyjska. Szlak odpowiedni na serwetki z kanwy Jawa przedstawia ryc. 23. Ciemniejsze kwadraciki oznaczają czarny jedwab, jaśniejsze włóczkę. Brzegi serwetki oszyte są frendzlą.

N. 24—25. Kreza i rękawek.

Garnitur ten odszyty z plisowanego tiulu i czarnej koronki; środkiem przewiązana kolorowa wstążka lub krawatka. Koronka może być jeszcze dla ozdoby wyszyta dżetem. Rękawek ogarnirowany zupełnie odpowiednio do krezy i także przewiązany kolorową wstążką.

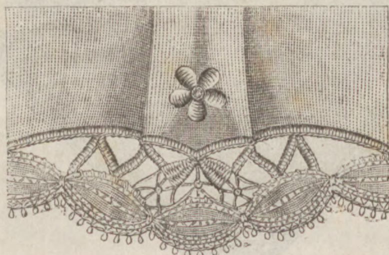
(dok. nast.).



N. 31. Stanik z baskiną i przemarszczonemi rękawami.



N. 30. Grzebień z kwiatów.



N. 28. Haft na batyście do ryc. 26.



N. 32. Stanik z baskiną i przemarszczonemi rękawami.